

V. d. d. d. d. f. Brach k. tyt.

STYCZEŃ ZESZYT 1



Drawing original. — Małgorzata Kubicki.

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: :: ::

Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, LWÓW, (Mikolaja Reja 3).

Prenumerata roczna (na poczet) — 72 marek, **półroczna** — 36 marek, **kwartalna** — 18 marek.
Zeszyt pojedynczy 4 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE: Wende i Sp., Warszawa, Krakowskie Przedmieście.

ZASTĘPSTWO REDAKCJI: Jan Śliwiński, Warszawa, ulica Flory 9.

Administracja uwzględnia wypowiedzenie i numeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — —
Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen twórczych.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17

Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank bieltowy w Polsce
- Dr. St. Pemaczyński — O emigracji i notziemskich
- Dr. Z. Kapiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
- Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja — Dociąg bliźniacza gospodarczego
- Stefan Haupt — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zychert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo westfalsko-nadrenskie i reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarystwach akcyjnych
- Dr. Marian Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarki narodowej
- Stanisław Marcinak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



„BIBLIOTEKA ZDROJU”.

Cena tomu 2 mk.

RZECZY PIĘKNE

miesięcznik poświęcony architekturze, rzeźbie, malarstwu, ochronie zabytków, kościelnictwu i rzemiosłu.

Kraków, ulica Smoleńska l. 9.

Z D R Ő J

DWUTYGODNIK ROZWIĘCONY JĘZYCE I KULTURZE WYJŚLOWEJ

ROK 3

STYCZEŃ 1919

TOM VI

ZESZYT 1

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 30.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRŐJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TRZĘŚĆ: Z „Legendy ziemi” — Emil Zegadłowicz. Apage Satanas — Wrotny. Chitra — Rabindranath Tagore (przełożyła Laura Konopnicka-Pytlińska). Z najnowszych liryków niemieckich — spolszczył Olwid. Gieśt wyjązności — Jerzy Hulewicz. Wielki król — Amalja Hertzówna. Góry — Petr Bezruc (spolszczył Olwid). Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyty oryg. — Jerzy Hulewicz, Jan Wroniecki, Małgorzata Kubicka, Jan Wroniecki, St. Samaj. Rysunek — Picasso.



Disen. oryg. — J. Hulewicz.

Z „LEGENDY ZIEMI”

..... kędyż nasze oparcie?

— czyż musi nam wystarczyć, jeśli, jako wynik badań
ostanie się ta jedyna Prawda, że legenda o ziemi i o wyla-
mywaniu się jej świadomości przedostanie się na gwiazdy?

..... bądź jak bądź — —

— jeśli w zrozumieniu naszym świadomość o jeden na-
pród posuniemy stopień:

bądźmy szczęśliwi —

tak! bądźmy szczęśliwi.....

FRAGMENT PIĄTY.

Rozzłociłeś się dnu wytęskniony, godzino wymodlona.

Nawiedziłaś duszę moją Chwilo Jedyna.

Czekałem na Cię w skrusze i pokorze wielkiej.

Mijały lata w zmienności swej jednakiej.

Mijały w tęsknocie bezsłonecznej.

Rozwijaly się kwiaty — wzrastały, kwitły i zrzucały płatki swe na traw
podłoże —

a z nasion nowe powstawały, by żyć i umierać — tak wciąż odnowa —

Widziałem mijanie i nic nie zdało mi się stałem; widziałem wieczny za-
wrotny ruch drobin i atomów krążących bez przerwy wzdłuż i wszerz, wzwyż
i w głąb — Wszechświat wydał mi się jako jeden organizm, w którego żyłach
przelewa się bezustanku krew życia — — —

— — jakże nikłemi drobinami w krążeń tych muzyce są gwiazdy, słońca
i ziemie?

Jakimże mizernym pyłkiem jesteś globie mój —

— iskrą wątłą w mrokach przestrzeni —

— pyłem kwiatowym na nieba łące —

— myślą przelotną, zwiwną —

A wszystko co na tobie i z ciebie powstaje, rodzi się, i umiera, wszystko,
co się sta wa, co się dzieje i zdarza — czemuż jest? czemu?

Ziemio ty moja wpleciona w różaniec bytów —

— pierzchliwa, niedosłyszalna twa pieśń —

— niewygrana muzyka, —

— zalękły tren — — — —

FRAGMENT SZÓSTY.

Tego popołudnia późnej wiosny —

— cisza bezwietrzna —

— śpiew ptaków —

— błękit —

— chmur białych smugi —

przedziwny, dawno oczekiwany, dawno niezaznany —
(— czyż wogóle już znany? czyli wytęskniony jeno?)
zawitał gość-wędrowiec.
Zadrżało serce!

— Pokój temu domowi —
Wraz zapadło się wszystko, co darzyło rozterką —
Zapadło się cicho, bezwiednie —
Ogród zbył niedostroju gąszczy nieprzebytych, chwastów, żwiru dokucz-
nego — — —

— jasne łąki, kwiaty,
kwiaty,
kwiaty — —

aleje słońcem wyzłocone.

Wraz zjawilo się wszystko, co darzy spokojem —
Na zwartych gruzach rozterek i zmagañ, walk i trwóg —
[po MILCZENIU — — bezgłówna dal drzy — — —]
— wstaje, wyrasta:

— NOWY DOM —
— Pokój temu domowi — (napis nad bramą — świetlany)
Oto Pokój wstępuje w progi moje —
— drzyj ciałol
Stół Pański do Biesiady przyładzon —
Wejdz Duchu Święty i zamieszkaj w domu tym na zawsze —
Umęczona duszo człowiecza —
— Pokój tobie

i wszelkiemu Stworzeniu: Pokój,
Radość,
Miłość — —

FRAGMENT SIÓDMY.

Mowo

wszystkiego, co nienazwane, niewypowiedziane, niewypowiedzialne!
Słowo:
kontur nienazwanego, niewypowiedzianego, niewypowiedzialnego.
POEZJO!

Źródło twoje: otchłań poza treścią słowa, bezkres poza barwą słowa, wieczność poza dźwiękiem barwy.

Słowo - potrzeba, konieczność...

Niepojęte? Nieuchwytnie? — tajn rozbłysków światła i zamieranie cieni;
(zaledwie, zaledwie).

Tanecznie lotna,
sprężysta,
niepojęta —

pragnienie-li Ciebie w ramionach chołubie,
wierają me wargi.

Wirujesz, drżysz, pierzchasz wokół w takt melodji jedynej, koniecznej...

Widzę, słyszę, odczuwam Cię wszędzie; stysiąckrotnioną wirem, szat gwieździstych omrzeniem —

— tu tam — — — —

Tajemnico barw, dźwięków i form — —

Milczenia mowa święta

Księgo jedyna zjawiona w srebrze przedświtów, w skwarze mętnych śródpołudni, w krwawych sztandarach zachodów, w mrokach północnej godziny:

POEZJO!

FRAGMENT ÓSMY.

Poprzez słów dźwięczącą toń —

mielizny miał —

rozpaczy zgrzyt —

zwątpienie sił —

i ból —

i smęt —

Skok w Dal:

WIDZĄCY DUCHI

Poprzez fałsz —

zbutwiałość form —

i kłam —

szydlerczy dzień —

tęsknotę —

żał —

Skok w Głęb:

ŚLYSZĄCY DUCHI

Poprzez byt —

gromy burz —

morza krwi —

placz i śmiech —

kręgi gwiazd

życie, śmierć —

Skok w Wyż:

WIEDZĄCY DUCHI

FRAGMENT DZIEWIĄTY.

Niezliczoną ilość promieni żądnych WIEŚCI wysyłam przedsię i zasię — na wschód i zachód, północ i południe — —

Uczyniła się sieć gęstwą nici-promieni oplatająca, łącząca, przechodząca mimo (— c z u j n a —)

Wświetlają się w przestrzeń —

do mózgów i serc i sumień —

a potem wracają, wracają nieodwołalnie w otok ogniska — aliści w ośrodku swym
nie znachodzą WOLI.

Dzieje się zaś tak, iż jestem w promieniach onych utajony, w Jedności
rozdzielony: TWORZĄCY —

są ze mnie i mną,

a jam jest w nich.

EMIL ZEGADŁOWICZ.



Drzeworyt oryg. — Jan Wróblewski.

Z CIEMNYCH DNI

APAGE SATANAS.

Ojczyzna moja znieważona,
Polsko! zły los ponieważ
nietylko młody owoc twego łona
najszlachetniejszych w narodzie ludzi,
z których każdy przed świtem umiera,
wierząc, że światło obudzi
ofiara pękniętego serca,
nietylko Polsko.
Ale i ciebie krzywdzi fatalny morderca,
ten najstraszniejszy, który na duchu zabija
— był w twoim losie — jest — i nie przemija.

Gdzie on nieuchwytny? i jak się nazywa
ten zły podziemny gad,
który umie owinać serce obręczą zwątpienia,
myśl zmrozić pokusą rachuby
i sączyć padalczy jad
w szlachetnej woli ogniwa,
aby ją rozbić i wtrącić do zguby
najmarniejszego istnienia.

Kto ciebie, Polsko, dostojną w niedoli
włóczy po carskich przedsionkach od wieku?
kto w ciebie wmawia, że to nie boli
będąc zwieszoną na krzyżowym ęcieku
pić zamiast octu toasty?
Kto, ciebie, dojrzałą w powadze cierpienia
na obcym pasku wciąż pragnie prowadzić,
twierdząc, że taka jest moc przeznaczenia
idąca gdzieś, aż hen, od protoplasty,
i na to trudno poradzić.
Kto ciebie, wielka, męczeńska królowo,
wciąż chroni z lękiem jak dziecko niesforne,
ściga uważnie każde twoje słowo
czy dość rozważne i w miarę pokorne
— kto tak się o ciebie boi?

Alboż za tobą Bóg nie stoi?
i Jego święta moc i prawo
pisane ogniście i krwawo
w dziejach narodów,
za falą losów odwrotnych?

Alboż ty możesz nie być,
lub być nieistotną?

Jeżeli ty nie będziesz
w chóralnym rzędzie
ducha wieczystych wschodów,
z których każdy oparty o wieczne sumienie
w czym przeszłość z przyszłością się brata,
jeżeli ty tam nie będziesz,
to i ludzkości nie będzie.

A wtedy!... niech się kończy istnienie,
niech stanie się koniec świata
i niema się o co prawować.

Tak rozumować?...

Pytają kto tak rozumuje?
ten, który z wiary żyje, czuje
i wie, że jeśli za nim prawo Boże,
to czemuż się napróżno trwoży
oprócz jednego — być z niem w zgodzie.

Narodzie mój, narodzie!
o gdybyś ty uwierzył silnie
i Boga zobaczył nad sobą
i siedmiu aniołów ognistych
strzegących węglów swojej ziemi,
o gdybyś ty duszę otworzył na cuda!

Wtedy byś uczuł w sobie Człowieka-Wielkoluda
jakim jest ten co nieomylnie
dąży nad nędzą i żalobą
w zwycięstwo mocy wieczystych
i brata się tylko z niemi;

i poszedłbyś w burzy swej młodej potęgi
wywalczać ludzkości prawo moralne
nie to socjalne tylko i formalne,
któremu jeszcze całej duszy trzeba,
lecz budujące wszystkich światów kręgi,
ziemi i piekła i nieba.

Boże Najwyższy, którego święte Imię
ludzie dziś używają napróżno,
straciliśmy Twe dary olbrzymie,
a Ty nas karzesz jałmużną.
Złotym cielcom na ofiarę
rzuciliśmy miłość, wiarę
i młodej nadziei szaleństwo,

a teraz cięży nad nami przekleństwo
zgasłego ducha...

Już nam on nie zaświeci
z nieśmiertelności wybrzeży,
umarł i pochowany,
umarł i grobie leży.

Wież o nim po ziemi leci,
że był jak gwiazda wiodący,
rycerską dłonią kowany,
rycerskiem sercem wierzący
w cud swego żywota niezmierny.

Był. Boże Miłosierny!

O płaczu! o płaczu! o żalu! o wstydzie!
kosmiczne wichry nad ziemią latają,
czerwone słońca oślepiają oczy,
śmierć hula, zaświat ze światem już zbratan,
a nasza małość wciąż za nami idzie,
i nic nam kręgów szerszych nie roztoczy
i włóczy się po sercach obrzydliwą zgrają
niewytępiiony polski szatan.

Kogo winię? nikogo nie winię,
nikogo nie nazywam,
dzisiaj grzeszą ci, a wczoraj inni,
każdy błądzi w swoim własnym czynie,
wszyscy robią nie to co powinni;
tylko teraz kiedy gniewu czara
Bożego nad światem wylana,
oskarżam polskiego szatana
i jego na bój wyzywam.
On rozbil polskie domostwo,
przez niego stracona wiara
i uzyskane tchórzostwo.

Przysięgam. Ja jeden. I wiem, są tysiące
jak ja samotnych, cierpiących bez głosu,
przysięgam na wielkie, gorejące słońce,
w którym swój przybytek duch polski postawi,
nie przyjąć z tej ziemi ni doli, ni losu,
aż zmartwychwstanie duch uświęcający,
przeniknie, oświeci i zbawi.
Przysięgam Bogu i jemu i więcej nikomu,
nie trzeba mi dziś w Polsce domu,
nie trzeba Polski bezdusznego ciała,
chcę, aby z ducha zmartwychwstała
i jasna w dziejowej zawiei
wiodła swój naród na święte boje,
na rewolucję z wiary i nadziei.
O zbroję dla Polski modłę się, o zbroję
taką jak była dawniej żelazna, skrzydlata,
niech w nią zakuje Człowieka-Wielkoluda,
który zdepcę starego księcia tego świata
dażąc do Boga — po cuda.

WROTNÝ.

RABINDRANATH TAGORE

CHITRA

PRZEDMOWA.

Dramat ten liryczny był napisany około dwudziestu pięciu lat temu. Oparty jest na następującej opowieści z Mahabharaty:

Podczas wędrówek swoich, wypełniając ślub pokuty — Arjuna przychodzi do Manipur.

Tam ujrzał Chitrangadę, piękną córę Chitravahany, króla tej krainy. Oczarowany jej wdziękami, prosi króla o rękę jego córki.

Chitravahana pyta go kim jest i dowiedziawszy się, że jest Arjuną Pandara, opowiada mu, że Prabhajana, jeden z jego przodków, z królewskiej linii Manipur, był długo bezdzietny. Aby uzyskać spadkobiercę odbywał surowe pokuty. Ublagany bóg Sziwa udzielił mu łaski tej, że on i każdy z jego następców będzie miał jedno dziecko.

Zdarzyło się, że obiecane dziecko, niezmiennie był syn.

On, Chitravahana, pierwszy miał tylko córkę Chitrangadę, aby zachować ród swój.

Dla tego wychowywał ją zawsze jako syna i uczył swoim następcą. Ciągnąc dalej król powiedział: jedyń syn, który się z niej urodzi, będzie spadkobiercą mojego rodu.

Syn ten ma być ceną, za którą zgodzę się na to małżeństwo. Weź ją, jeśli przystajesz na ten warunek. Arjuna przyrzekł i pojął Chitrangadę za żonę i zamieszkał w stolicy jej ojca przez trzy lata. A gdy mu się urodził syn — z miłością uściśkał żonę i opuścił ją i jej ojca i znów udał się na wędrówkę.

OSOBY.

Bogowie:

Madana (Eros).

Vasanta (Lyceria).

Śmiertelni:

Chitra, córka króla Manipur.

Arjuna, książę z domu Kurusa. Pochodzi z Kahastry'ów, czyli kanty rycerzy, w ciągu akcji przebywa jako pustelnik samotny w lesie.

Wieśniacy z przyległej do Manipur okolicy.

SCENA I.

Chitra: Tyżeś jest bóg o pięciu strzałach, bóg miłości?

Madana: Jestem pierworodnym w sercu twórcy. Ja wiąże więzami bólu i błogosławie życie mężów i niewiast.

Chitra: Wiem; wiem co to ból i jego pęta. A kto ty jesteś, panie?

Vasanta: Jestem jego przyjacielem — Vasanta — król pór roku. Śmierć i Starość pożarłyby świat do kości, lecz ja je ścigam i zwalczam nieustannie. Jam jest wieczna młodość.

Chitra: Pokłon tobie, Vasanto, panie mój.

Madana: Lecz jakież surowy ślub wiąże ciebie, piękny nieznamy? Czemu pozwalasz swej świeżej młodości wędznąć w pokucie i umartwieniu? Przez taką ofiarę nie oddaje się czci miłości.

Kto jesteś i jaką jest twoja modlitwa?

Chitra: Jestem Chitra, córka królewskiego domu Manipur. Boska łaskawość Sziwy przyrzekła królewskim przodkom moim nieprzerwany szereg męskich potomków.

Lecz słowo boże nie miało władzy zmienienia iskry życia w żywocie matki mojej — tak nieokleślaną była natura moja — chociaż jestem kobietą.

Madana: Wiem, dla tego to ojciec chował cię jako syna. Nauczył obchodzenia się z łukiem i wszystkich obowiązków króla.

Chitra: Tak, dla tego noszę męski strój i dla tego porzuciłam odosobnione schronienia niewiast. Nieznane mi są sposoby kobiet, które siłą serca. Ręce moje mają siłę, ażeby naciągnąć łuk, lecz nie uczyłam się nigdy sztuki Kupidyna i gry oczu.

Madana: Do tego nie trzeba nauki, piękna. Oczy sprawują rzecz swą nieuczzone. Wie o tem dobrze ten, kogo trafia w serce.

Chitra: Pewnego dnia — szukając zwierzyny — zablakałam się samotna — na brzeg rzeki Paruna. Przywiązałam konia do drzewa i poszłam śladem zwierza w gęstwinę. Tam trafiłam na wąską, krętą ścieżkę, która prowadziła między spletanymi gałęziami, których liście drżały pieśnią świerszczów polnych, — gdy nagle — ujrzałam człowieka, spoczywającego na posłaniu suchych liści — tuż na mojej drodze. Zawołałam dumnie, aby ustąpił na stronę, ale on nie pospieszał. Wtedy go pogardliwie ukląm końcem strzały. Zerwał się — silny, strzelista jak nagły płomień z popiołu. Wesoly uśmiech zamigotał mu w kątach ust — może na widok mojej chłopięcej postaci. Wówczas — raz pierwszy w życiu — uczułam się kobietą i poznałam, że męczyzna stoi przedemną.

Madana: W szczęścia godzinie daję mężczyźnie i kobiecie tę najwyższą naukę: poznanie samych siebie. Cóż się stało dalej?

Chitra: Z trwogą i zdumieniem zapytałam go: „Kto jesteś?” „Jestem Arjuna”, rzekł, „z wielkiego szczepu Kuru”.

Stałam, jak skamieniała i zapomniałam oddać mu pokłonu. Byłże to naprawdę Arjuna, wielkie, jedyne snów moich bożyszcze? Tak, dawno już slyszalam o ślubie jego dwunastu lat czystości.

Nieraz młoda duma moja podburzała mnie: skrzyżować z nim lancę moją, wyzwąć go w przebraniu na pojedynek, spróbować przeciw niemu kunstu oręża mego.

Oh — szalone serce — gdzie twoja duma uleciała. Gdybym mogła całą młodość moją z jej pragnieniami zamienić na grudkę ziemi pod nogami jego — jakże byłabym szczęśliwą z tej łaski!

Nie wiem już w jaki odmet myśli wpadłam — gdy nagle ujrzałam go niknącego między drzewami.

O nierozumna kobieto, nie pozdrowiłaś go, nie rzekłaś słowa, nie prosiłaś o przebaczenie, ale stałaś, jak kłoda drzewa, gdy on pogardliwie odszedł.

Na drugi dzień odsunęłam męski mój ubiór, wzięłam bransolety, obręcze na nogi, pas i jedwabną z purpury szatę. Niezwykły ten strój ukrył mój drżący wstyd, ale podążyłam za moją zgubą i odnalazłam Arjunę w leśnej świątyni Sziwy.

Madana: Dokończ twej opowieści. Jam jest bóg z serca zrodzony, zrozumieć tajemnicę twoich czynów.

Chitra: Nie pamiętam już wyraźnie co mówiłam i jaką dostalam odpowiedź. Nie wymagaj, abym opowiadała wszystko. Wstyd uderzył we mnie, jak piorun, ale nie zgruchotał — tak silną jestem, tak podobna mężczyźnie. Ostatnie jego słowa — gdy wracała do domu — kłuły me uszy, jak rozżarzone igły.

„Ślubowałam czystość. Nie znajdziesz we mnie męża“.

Oh, ślub męczyzny. Ty napewno znasz, boże miłości, niezliczonych świętych i mędrców, którzy nagrodę pokuty całego życia złożyli u stóp kobiety!

Złamałam łuk swój na dwoje i strzały wrzuciłam do ognia. Znienawidziłam silne, giętkie ramiona moje przeznaczone do naciągania łuku.

Miłości, boże miłości w proch ukorzyłeś dumę mojej męskiej siły i hart zwałeś do nóg swoich. Teraz naucz mnie swej mądrości. Daj mi siłę słabych i oręż niezbrojnej dłoni.

Madana: Chcę być przyjacielem twoim. Przywiodę ci Światazdobycę, Arjune, jako więźnia, aby za bunt swój przyjął wyrok z twoich rąk.

Chitra: Gdybym miała tylko czas, mogłabym zdobyć serce jego z wolna i nie potrzebowałabym już pomocy bogów. Stałabym u boku jego, jako towarzysz, prowadziła dzikie rumaki wojennego wargu jego, dzieliła radość polowania, trzymała straż w noc u wejścia do namiotu jego i pomagała we

wszystkich wielkich obowiązkach Kshatrij: wspierania słabych i wymierzania powinnej sprawiedliwości.

Napewno nadszedłby ten dzień, gdy spojrzalby na mnie i spytał zdziwiony: „Kto jest ten chłopiec? Jestże on moim niewolnikiem z poprzedniego życia, który jak dobry czyn idzie za mną“. — Ja nie jestem kobietą, która swój ból żywi łzami w samotnej nocnej ciszy, a w dzień chowa się po za uśmiech cierpliwy, jak urodzona wdowa. Kwiat mego pożądania nie może opaść w pył, zanim dojrzeje w owoc. Ale to jest praca całego życia: Znać i szanować własne ja. — Dla tego przyszedł do Twoich drzwí; Ty — zwyciężająca świat — Miłości! i ty, Vasanto, młodzieńczy boże pór roku — zdejm z młodego ciała mego tak niesprawiedliwie przyrodzoną odstręczającą brzydotę. Na jeden jedyny dzień uczyni mnie cudnie piękną, — tak piękną, jak nagle rozkwita w mojem sercu miłość. Daruj mi jeden jedyny dzień nieskażonej piękności, a przetrwam wszystkie dni, które przyjdą potem.

Madana: Księżniczko, prośba twoja będzie wysłuchana.

Vasanta: Nie jeden krótki dzień, ale jak rok długi — wiośniany czar upiększy twoje ciało.

SCENA II.

W leśnie.

Arjuna: Śniłem — czy też było prawdą to, co widziałem nad jeziorem. Siedziałem na omszonej ziemi, dumając o ubiegłych latach w zapadających cieniach wieczoru, gdy z wolna, z mroku falującego listowia wyłoniło się zjawisko cudnej piękności — w postaci kobiety. Stała na białym, płaskim kamieniu u brzegu wody.

Zdawało się, że pod bosemi jej nogami radością wzbiera serce ziemi. Wydało mi się, że lekka tkanina jej ciała w zachwycie rozplynie się w powietrzu, jak mgła poranna z nad śnieżnych szczytów wschodnich.

Pochyliła się nad błyszczącym zwierciadłem jeziora i zobaczyła w niem odbicie swej twarzy. Drgnęła zdziwiona i stanęła cicha, poczem uśmiechnęła się i wolnym ruchem lewej ręki — rozpuściła włosy, które spłynęły ku ziemi, aż do jej stóp. Obnażyła pierś i przypatrywała się nieskazitelnej formie swych ramion — pełna pieszczoty dla swego ciała. Pochyliła głowę i napawała się słodczą kwitnącej młodości swojej i delikatną różanością brzoskwiniowej skóry. Promieniała rozkosznem zachwyceniem — jak biały kwiat lotosu, gdy otworzy oczy o poranku, pochyli szyję, aby zobaczyć odbicie swoje w wodzie i trwa w zadziwieniu nad samym sobą, jak dzień długi.

Ale w chwilę później — uśmiech zniknął z jej twarzy i cień smutku pojawił się w oczach. Związała włosy znowu, nasunęła zasłonę na ramiona i poszła wolno, wzdychając, jak cudny wieczór, gdy w noc zapada.

Wszystkie uczucia tęsknoty błyskawicą przeleciały przemennie i zgasły, gdy — Ale kto to poruszył drzwi!

(*Chitra wchodzi w ubraniu kobiecym.*)

Ach, to ona — ciszej serce...

Nie lękaj się pani, jestem Kshatrja.

Chitra: Szlachetny panie. Jesteś moim gościem. Ja mieszkam w tej świątyni. Nie wiem, jak mam ci okazać mą gościnę.

Arjuna: Piękna pani — twój widok jest największą gościną. Jeśli mi nie wzbronisz — chcę ci zadać pytanie.

Chitra: Zezwalam.

Arjuna: Jaki ślub surowy więzi cię tutaj w murach samotnej świątyni i pozbawia śmiertelnych tak czarownego widoku?

Chitra: Żywię w mem sercu tajemnie pragnienie i codzień zanoszę do Sziwy modły o jego spełnienie.

Arjuna: Ach, czegoż możesz żądać ty, ty, która jesteś pożądaniem całego świata. Od wschodnich wzgórz, na których wierzchołku wczesna jutrenka stawia swą różaną stopę, aż do końca zachodniego kraju wędrowałem. Widziałem wszystko, co tylko najcenniejszego, najpiękniejszego i największego jest na ziemi. Wiedza moja stanie się twoją, gdy mi powiesz czego lub kogo szukasz.

Chitra: Tego, którego szukam — znają wszyscy.

Arjuna: Kto jest tym wybranym bogów, którego sława zniewoliła serce twoje.

Chitra: Potomek największego domu królewskiego, największy z bohaterów jest on.

Arjuna: Pani, nie składaj skarbu twej piękności na ołtarzu próżnej sławy. Próżność sławy przelatuje z ust do ust, i mija jak mgła poranna, nim słońce wszędzie. Powiedz mi, kto jest tym największym bohaterem królewskiego rodu?

Chitra: Pustelniku. Zazdrosnym jesteś o sławę innego. Czy nie wiesz, że na całym świecie najslawniejszym jest królewski dom Kuru?

Arjuna: Dom Kuru?

Chitra: I czyż nigdy nie słyszałaś największego imienia z najslawniejszego domu?

Arjuna: Niech je usłyszę z twoich ust.

Chitra: Arjuna. Zdobywca świata. — Z nieliczonych ust słyszałam to nieśmiertelne imię i za-

chowałam je w dziewiczym sercu mojem. Pustelniku, dla czego patrzysz tak zmieszany? Czy imię to świeci obłudnym blaskiem, powiedz, a nie zawaham się rozbít ścian serca mego i falazywy kamień w proch rzucę.

Arjuna: Czy imię jego, sława jego i odwaga, i męstwo są prawdą, czy fałszem — przez litość nie wyrzucaj go z serca — gdyż oto klęczy u twoich nóg.

Chitra: Ty — Arjuna?

Arjuna: Tak. Jam jest, żebrak miłości, zgłodniały gość u twoich drzwi.

Chitra: Więc nie jest prawdą, że Arjuna ślubował 12 lat czystości?

Arjuna: Lecz tyś rozwiązała mój ślub, jak księżyc rozwiązuje noc ze ślubu ciemności.

Chitra: O hańbo! Co widzisz we mnie, że zdradziłeś samego siebie? Czego szukasz w tych ciemnych oczach i tych mlecznobiałych ramionach, że jesteś gotów za to — dać cenę swego honoru?

Nie mnie samej. Wiem o tem. To pewna, że nie miłość jest największym hołdem mężczyzny dla kobiety. Biada, że ciało, ta znikoma powłoka czyni nas ślepych na światło nieśmiertelnej duszy! Tak! teraz — prawdziwie — teraz wiem Arjuno, że sława bohaterstwa twego jest kłamstwem.

Arjuna: Ach — czuję jak nikła jest sława i duma męstwa! Wszystko wydaje się snem. Ty jedna jesteś doskonałością, ty jedna jesteś bogactwem świata, końcem wszystkich nędz, celem wszystkich pożądań — ty jedyna — kobieto! Inne dają się poznać zwolna, z trudem, gdy ciebie widzieć chwilę tylko — znaczy ujrzeć doskonałość teraz i na wieki.

Chitra: Niestety — to nie jestem ja, Arjuno, to zwodniczy obraz boga. Idź, idź mój bohaterze. Niepożądaj złądy, nie oddawaj wielkiego serca twego zwodniczej zjawie. Idź.

SCENA III.

W świątyni.

Chitra: Nie. Niepodobna wytrzymać palący wzrok zgłodniałej duszy, który chwytą drapieżnymi rękami, czuć, jak serce chce zerwać więzy w namiętym krzyku, przenikającym całe ciało i odepchnąć go, jak żebraka! Nie — niepodobna!

(*Wchodzą Madana i Vasanta.*)

O boże miłości, jakież to straszliwy płomień zesłałeś na mnie: Płonę, przepalam wszystko, czego się dotknę.

Madana: Pragnę wiedzieć, co zdarzyło się ubiegłej nocy.

Chitra: Wczorajem kładłam się na posłanie z listków wiosennego kwiecia, wspominałam podwój-

pieaszczoty sławiącej mą piękność, którą słyszałam od Arjuna, pijąc kroplę po kropli miód, gromadzony dzień cały.

Dzieje przeszłego życia mego i wcielenia dawne zostały zapomniane. Czułam się jak kwiat, który żyje kilka pierzechliwych godzin, aby wysłuchać pieśni o piękności rozgwaru lasu, a potem odwrócić oczy od nieba, spuścić głowę i wydać ostatnie bezgłośnie westchnienie ku ziemi i bez skargi zakończyć dzieje cudnej chwili, nie mającej ani przeszłości, ani przyszłości.

Vasanta: Bezgraniczne życie sławy — może rozwinąć się i zwiędnąć o jednym poranku.

Madana: Jak wieczna mądrość w jednej zwrotce piosenki.

Chitra: Południowy wiew kołysał mnie do snu. Z pochylonych kwiatów Malati spadały ciche pocałunki na ciało moje. Na włosach moich, piersiach, na stopach moich, kwiat każdy szukał posłania, by umrzeć. Spałam. I nagle w głębokim śnie czułam, że jakiś przenikający, namiętny wzrok, jak klujące palce płomienia dotyka śpiącego ciała mego. Zerwałam się i zobaczyłam pustelnika, stojącego przedemną. Księżyc zwrócił się ku wschodowi i poprzez liście śledził boskiej sztuki cud, zamknięty w konęch ludzkiej postaci. — Powietrze było ciężkie od woni, cisza nocy dźwięliła pieśnią świeższych polnych, nieruchome cienie drzew zawisły w jeziorze, a on, z kijem w rękę stał — wysoki, smukły, cichy, jak drzewo w lesie. Zdało mi się, gdy otworzyłam oczy, że umarłam dla wszystkiego co ziemskie, że zapadłam w sen narodzin — w krainie cieniów.

Wstyd opadł do mych nóg, jak rozwiązana szata. Usłyszałam jego wołanie: Ukochana, — ukochana moja. I wszystkie moje przeszłe żywoty stopiły się w jedną odpowiedź. Rzekłam: Weź mnie, weź całą. I wyciągnęłam do niego ramiona. Księżyc zaszedł za drzewa.

Zasłona ciemności zakryła wszystko. Niebo i Ziemia, Czas i Przestrzeń, Rozkosz i Ból, Życie i Śmierć zwały się w nieprzezwyciężony szal.

Z pierwszym promieniem światła, z pierwszym świergotem ptaków — podniosłam się i siadłam, wsparta na lewym ramieniu. On leżał uspijony.

Na ustach jego błąkał się uśmiech niepewny, jak księżyc wznoszący się o poranku. Różany świt padł na szlachetne czoło. Westchnęłam i wstałam. Ściągnęłam rozchylone liście lijan, aby ochronić przed wschodzącym słońcem twarz jego. Spojrzałam dookoła i zobaczyłam tę samą starą ziemię. Przypominałam czem byłam i uciekałam, jak lania, przestraszona własnym cieniem, poprzez ścieżynę leśną zasłaną kwiatami Shephali. Znalazłam samotną ustroń, usiadłam,

ukryłam twarz w obu dłoniach i chciałam płakać i skarżyć się. Ale łzy nie nabiegały mi do oczu.

Madana: Biada, córko śmiertelnych; z boskiego śpichlerza wykradłem pachnące wino niebios, napelnilem niem ziemską noc po brzegi i dałem ci, w ręce abyś piła — i jeszcze słyszę ten krzyk bólu!

Chitra gorzko: Kto wypił je? Najrzadsze spełnienie tęsknoty życia, pierwszy uścisk miłości dane mi i odebrane nim go ujęłam w objęcia. Ta pożyczona piękność, ten fałsz, który mnie odział, spadnie ze mnie i zabierze jedyną pamiątkę słodkiego związku, jak opadające płatki okwitającego kwiatu, a kobieta, zawstydzona nagością swej nędzy, siądzie, by płakać dzień i noc. Boże Miłości, przeklęty jest kształt ten cielesny, nierozłączny z zemną, jak demon, kradnący całą wartość miłości, wszystkie pocałunki, których pragnę.

Madana: Niestety — daremną była twoja jedyna noc. — Barka radości była na szlaku, ale fale nie pozwoliły przybić jej do brzegu.

Chitra: Niebo było tak blisko moich rąk, że na chwilę zapominałam, iż dosięgnąć go nie mogę. Ale gdy się zbudziła o poranku ze snu — przekonałam się, jako moje własne ciało jest moją rywalką. Znienawidziłam obowiązek upiększania go codziennie, posyłania do ukochanego, aby patrzeć jak je pieści. O Boże, zabierz swój dar z powrotem.

Madana: Lecz jeśli go zabiorę, jakże staniesz przed ukochanym twoim? Odsunąć puhar od ust, gdy zaledwie pierwszy haust rozkoszy wypity — czy to nie zbyt okrutnie. Z jakimże rozczarowaniem patrzeć będzie na ciebie.

Chitra: A jednak tak lepiej. Ukazać mu się prawdziwą, szlachetniejszą rzeczą, niż to przebranie. Jeśli mnie odepchnie, pogardzi mną i serce moje złamie — zniosę spokojnie w milczeniu.

Vasanta: Posłuchaj mojej rady. Gdy nadejdzie jesień, pora kwiatów mija i nastaje tryumf owocu, przyjdzie czas, rozkwit ciała twego pochyli się i Arjuna radośnie przyjmie owoc prawdy twojej. O dziecię, wróć do swej szalonej uczty.

SCENA IV.

W lesie.

Chitra: Czemu tak uważnie patrzysz na mnie, mój rycerzu?

Arjuna: Patrzę, jak wijesz wieniec. Lekkość i wdzięk, bliźniacze rodzeństwo, igrają, tańcząc na końcach twoich palców. Patrzę i myślę. —

Chitra: Co myślisz, panie?

Arjuna: Myślę, że z tą samą lekkością dołknęcia i słodyczą wpleciesz wygnanie moje do nie-

śniertelności korony, by uwieńczyć powrót mój do domu.

Chitra: Do domu? Ależ miłość ta nie ma domu.

Arjuna: Nie ma domu?

Chitra: Nię, nigdy nie mów tego. Zabierz do domu co trwałe i mocne. Zostaw mały dziki kwiat tam, gdzie się urodził. Pozwól niech umrze w pięknie u schyłku dni z wędnącemi kwiatami i opadającemi liśćmi. Nie zabieraj ze sobą, aby tam rzucić na kamienną podłogę, która nie ma litości dla rzeczy zwiędłych i zapomnianych.

Arjuna: Czy taką jest nasza miłość?

Chitra: Taką, nie inną. Dlaczego żalować? Co się poczęło w beztroskliwości dni, nie powinno ich przeżyć. Radość zamienia się w ból, gdy zamkniesz drzwi, przez które chce odejść. Weź moją miłość i zatrzymaj, jak długo ona trwa. Nie pozwól, by sytość wieczoru więcej chciała, aniżeli żądza ranka naszego zebrać mogła. Dzień minął. Włóż ten wieniec. Zmęczona jestem. Weź mnie ukochany w ramiona i niech wszystkie spory zamrą w słodkiem spotkaniu się warg naszych.

Arjuna: Cicho — słuchaj ukochana — dźwięk rozmodlonych dzwonów z dalekiego wiejskiego kościołka — płynie w wieczornem powietrzu poprzez ciche drzewa!

SCENA V.

W świątyni.

Vasanta: Nie mogę dotrzymać ci kroku przyjacielu. Jestem zmęczony, to ciężki obowiązek utrzymać płomień tego ognia, który rozpalileś. Sen mnie chwyta, wachlarz upada z ręki i zimny popiół pokrywa żar. Zrywam się ze snu i całą siłą moją podtrzymuję młodego płomień. Ale tak dłużej być nie może.

Madana: Wiem, jesteś zmienny, jak dziecko zawsze nie ma spokoju twoja zabawa, ani na ziemi, ani na niebie. Rzeczy, które budujesz długie dnie z nieskończoną troskliwością — burzysz w jednej chwili — bez żalu. Ale dzieło nasze na teraz skończone. Radością uskrzydłone dnie ulatują szybko i rok prawie skończony w omdłości błogosławionej.

SCENA VI.

W świątyni.

Arjuna: Zbłądziłem się i zobaczyłem, że sny moje stopiły się w szlachetny kamień. Nie mam żadnej szkatuły, aby go zamknąć, ani królewskiej korony, aby go oprawić, ani łańcucha, aby go zawiesić i nie miał serca, aby go odrzucić. Tak trzymam go

i dłoń prawdziwego Kshatrija trwa w beczynności i zapomina o swych obowiązkach.

(Wchodzi Chitra.)

Chitra: Powiedz mi swoje myśli, panie.

Arjuna: Dziś myśli moje zdążają ku polowaniu. Spójrz, jak deszcz leje strumienisty i siecze zbocza gór. Ciemnych chmur zwąły wiszą ciężko nad lasem i wezbrane potoki, jak beztroskliwa młodość zrywają wszystkie tamy z szyderczym śmiechem. W takie deszczowe dnie pięciu nas braci szła zawsze do lasu Chitraka, polować na dzikiego zwierza. Wesołe to były czasy. Serca nasze tańczyły na głos bębna groźnych chmur. Lasy były głośnie od krzyków paw. Strwożony zwierz nie mógł posłyszeć kroków naszych w szumie deszczu i rozchworze wodospadów. Lamparty pozostawiały ślad swój na mokrej ziemi i zdradzały swoje schronienie. A po polowaniu próbowaliśmy przepływać wzburzone potoki w powrotnej drodze do domu. Duch niepokoju zamieszkał we mnie, tęskno mi do polowania.

Chitra: Wpierw skończ ze zwierzyną, którą teraz tropisz. Czy jesteś zupełnie pewny, że zaczarowane zwierzę, na które polujesz — musi być pojmane? Nie, jeszcze nie. Dzikie stworzenie to — jak sen — oddala się wtenczas, gdy zdaje ci się, że jest najbliżej ciebie. Patrz, jak szalejący deszcz goni wiatr, puszczając za nim tysiące strzał. A przecież on zostaje wolny, nieujarzmiony. Wasze polowanie podobne do niego, ukochany. Gonisz za szybkoogonną pięknością i puszczasz za nią wszystkie strzały, które masz w rękach. Ale zaczarowana Zwierzyna uchodzi wolna i niepoknuta.

Arjuna: Ukochana, czy nie masz domu, gdzie tkliwe serca oczekują twego powrotu? domu, któremu przez czule starania dałaś uroku i którego światło zgasło, gdyś opuściła go dla tej puszczyny?

Chitra: O co pytasz? Czy godziny rozkoszy minęły? Czy nie wiesz, że jestem tą tylko którą przed sobą widzisz? Dla mnie istnieje tylko teraz. Rosa wisząca na listkach kwiatu Kiusuki niema ani nazwiska, ani przeznaczania. I nie daje odpowiedzi na żadne pytania. Ta, którą kochasz podobna jest do perły rosy. —

Arjuna: Czyż ona niema żadnego związku ze światem? Jesteś tylko kwiatkiem nieba, który bóg radości beztroskliwie upuścił na ziemię?

Chitra: Tak.

Arjuna: Ach, dlatego zdaje mi się zawsze jakbym miał cię stracić. Serce me niezaspokojone, a myśl nie uciszona. — Pójdź bliżej, nieujęta. Odaj się i przyjm więzy, które nazywają się: Nazwisko, dom, ojczyzna. Niech serce me obejmie ciebie całą, niech żyje z tobą w spokojnej pewności miłowania.

Chitra: Po co ten próżny wysilek zatrzymywania barwy chmur, tańca fal, zapachu kwiatów?

Arjuna: Pani moja, nie wierz abyś lotnem „niczem” mogła zaspokoić miłość moją. Daj mi coś, co bym mógł ująć, coś co trwa dłużej niż rozkosz, co może przetrwać cierpienie.

Chitra: Bohaterze mój, jeszcze się rok nie skończył, a ty jesteś już zmęczony. Teraz wiem, błogosławieństwem niebios jest przemijające życie kwiatów. Gdybym zwiędła razem z kwiatami ostatniej wiosny — umarłabym szlachetnie. A przecież dni moje są policzone, ukochany. Nie żałuj mnie, wypij całą słodycz moją, nie lękaj się, że twoje żebrzące serce wracać będzie ciągle i ciągle z nienasyconą żądzą, podobnie jak spragnioną pszczoła, kiedy kwiaty lata martwe leżą w pyłe.

SCENA VII.

W świątyni.

Madana: Dziś — ostatnia twoja noc.

Vasanta: Cud twojego ciała wraca do niewyczerpanego skarbcza wiosny. Czerwień ust twoich zwolniona z pamięci pocałunków Arjuna — rozkwitnie nanow na dwóch świeżych płatkach kwiatu Asoki. I gładka białość twej młecznej skóry odrodzi się w setkach kwiatów pachnącego jaśminu. —

Chitra: O bogowie — wysłuchajcie mojej modlitwy. Dziś, w ostatnią godzinę, niech piękność moja rozbrzyśnie najjaśniej, jak iskra gasnącego płomienia.

Madana: Życzenie twoje spełni się.

SCENA VIII.

W lesie.

Wieśniacy: Kto nas teraz obroni?

Arjuna: Co — jakie niebezpieczeństwo wam grozi?

Wieśniacy: Zbójcy nadciągają z pobliskich wzgórz i jak górskie potoki zniszczeniem grożą siołom naszym.

Arjuna: Nie macie żadnego obrońcy w państwie waszem?

Wieśniacy: Księżniczka Chitra była postrachem wszystkiego złego. Dopóki była w tym błogosławionym kraju baliśmy się tylko zwykłej śmierci — niczego innego. Teraz poszła na pielgrzymkę i nie wiemy gdzie jej szukać.

Arjuna: Obrońcą kraju tego jest kobieta?

Wieśniacy: Tak. Ona jest naszą matką i ojcem naszym.

(Wchodzi Chitra).

Chitra: Dlaczego tu siedzisz tak samotny.

Arjuna: Probuje wyobrazić sobie jaką kobietą może być księżniczka Chitra. Słyszę tyle powieści o niej od różnych ludzi.

Chitra: Ach — ona — nie jest piękna, nie ma moich pięknych, ciemnych, jak śmierć oczu, może przesyłać tarczę każdą, ale nie serce bohatera.

Arjuna: Mówią, że jest odważna, jak mężczyzna i miękka, jak kobieta.

Chitra: I to jest największym nieszczęściem. Kobieta, która jest tylko kobietą, która uśmiechem, westchnieniem i pieszczotą owija się dokoła serca mężczyzny — jest jedynie szczęśliwą.

Na co jej mądrość i wielkie dzieła?

Gdybyś ją zobaczył wczoraj na podwórzu boga Sziwy, na leśnej drożynie — przeszedłbyś mimo, nie zwróciwszy na nią uwagi. Jesteś tak przesycony pięknnością kobiety, że szukasz w niej męskiej siły?

Z zielonych — od rozpylonego wodospadu wilgotnych, liści przygotowałam posłanie nasze na potudniowy spoczynek — w ciemnej, jak noc grocie. Chłód miękkiej zieleni mchów, która pokrywa twarde kamienie — ucałuje oczy twoje do snu. Niechże Cię tam powiodę.

Arjuna: Nie dziś, ukochana.

Chitra: Dlaczego nie dziś?

Arjuna: Słyszałem, że jakaś horda rozbójnicza zesłała do doliny. Muszę iść zgotować oręż, aby bronić przerażonych wieśniaków.

Chitra: Nie troskaj się. Księżniczka Chitra, nim wyruszyła na pielgrzymkę — zostawiła silne straże na wszystkich przejściach granicznych.

Arjuna: Zezwól tylko na małą chwilę zająć się rzemiosłem Kshatriji. Nową chwałą muszę uszlachetnić beczynne ramię, aby stało się godniejszym oparciem twojej głowy.

Chitra: A gdy nie zezwolę ci odejść, gdy cię zatrzymam w uścisku moich ramion. Czy się z nich szorstko wyrwiesz sam i porzucisz mnie? Idź więc, ale wiedz, że przełamana na dwoje gałąź liany, nie zrósnie się już razem. Idź, jeśli twoje pragnienie już syte. Lecz — jeśli nie — pamiętaj, jak płochliwy jest bóg miłości, jak nie czeka na żadnego człowieka. Zaczekaj jeszcze chwilę, panie mój. Powiedz mi, jakie niespokojne myśli dręczą cię? Co tak dziś pochłania umysł twój? Jesteś to Chitra?

Arjuna: Tak, Chitra. Zdumiewam się dla jakiego ślubu udała się na pielgrzymkę? Czego jej brak?

Chitra: Czego jej brak? Czyż ona coś posiada, nieszczęsna istota. Jej cnoty są dla niej więziennymi murami, które serce kobiece zamknęły w pustej celi. Jest w zaćmieniu, nie dopełnioną miłość swą kobiety musi okrywać lachmanem, pięk-

ności odmówiono jej. Podobna do bezradośnego dnia, siedzącego na kamienistym wierzchołku góry, którego światło ciężkie chmury zgasiły. Nie pyta mnie o jej życie. Niemile brzmi dla męskiego ucha.

Arjuna: Płonę, aby dowiedzieć się o niej wszystkiego. Jestem jak pielgrzym, który przyszedł do nieznanego miasta o północy. Kościoły, wieże i drzewa ogrodów widać, jak cienie niewyraźnie, i głucha skarga morza przychodzi jęczeć w ciszy snu. — Tęsknie czeka na świt aby ujrzeć wszystkie cuda. — O, powiedz mi jej historję!

Chitra: Cóż więcej jest do powiedzenia.

Arjuna: Zdaje mi się, że widzę ją przed oczyma duszy, jadącą na białym koniu, trzymającą dumnie cugle w lewej ręce, a w prawej łuk — podobną do bogini Zwycięstwa, która rzuca dookoła siebie ufną nadzieję i — jak czujna lwica, z dziką miłością broniąca swoich małych, ssących jeszcze. Ramiona kobiece, gdy je tylko nieustraszona siła zdobi — mogą być piękne. Serce moje jest niespokojne — o piękna — podobnie jak wąż, zbudzony z długiego snu zimowego. — Pójdź siądźmy na szybko konogie rumaki, ramię w ramię pędzić będziemy poprzez przestrzenie, jak gwiazdy bliźnię. Daleko od tego usypiającego więzienia z ciemnej zieleni — daleko od tego oszalamiająco pachnącego czadu, który dech zapiera.

Chitra: Arjuno — powiedz mi prawdę, gdybym nagle — czarodziejskim sposobem zrzuciła z siebie tę rozkoszną miękkość, ten delikatny, wstydlivy puch piękności, która drży przed szorstkim dotknięciem zdrowego świata — i wszystko zdarła z ciała mojego, jak pożyczoną szatę — czy mógłbyś to znieść?

Gdybym stanęła prosta, mocna siłą odważnego serca, gardząca sztuką zalotnej słabości, gdybym podniosła wysoko głowę, jak młoda, górska sosna, nie gnąc się nisko w pyłe, jako liana — czy znalazłabym łaskę w oczach mężczyzny?

Nie, nie — tybyś tego nie zniósł. Lepiej, że zatrzymam te wszystkie nietrwałe ozdoby przemijającej młodości i zaczekam na ciebie cierpliwie.

Jeśli zechcesz powrócić — z uśmiechem podam ci rozkoszy puha w pięknym tym ciele. A gdy będziesz zmęczony i syty wina tego — możesz pójść do pracy lub zabawy; a gdy stara już będę, przyjmij z pokorą i wdzięcznością jakiś kąt pozostawiony dla mnie. Chciałabyś twa bohaterska dusza to, co było igraszką nocey przyjąć jako towarzyszkę dnia? czy lewe ramię ma uczyć się nieść dumny ciężar prawego?

Arjuna: Ja nigdy naprawdę cię nie poznałem. Zdajesz mi się jak bogini ukryta w złotym

wizerunku. Nie mogą cię ująć, nie mogą zapłacić za nieoszacowane dary twoje. I tak miłość moja nie jest pełną. Czasem w zagadkowej głębi twego smutnego spojrzenia, w swawolnych słowach, które same z sobą igrają — chwytam przebliski tej istoty, któraby chciała zrzucić z siebie zawrotny czar swego ciała, aby w czystym ogniu cierpienia, przez mglistą zasłonę uśmiechu wznieść się w górę. Żłuda jest pierwszą postacią prawdy. Ona zjawia się przed kochankiem w przebraniu. Ale przychodzi czas, kiedy odrzuca precz strój i zasłonę i staje odziana w nagą dumę. Dążę do tego ostatniego ty, do tej szczerzej, prostej prawdy.

Dla czego te łzy, ukochana moja? Dla czego kryjesz twarz w dłonie? Czy cię zasmuciłem, najdroższa moja? Zapomnij co powiedziałem.

Będę się radował tem, co jest teraz. Niech każda osobna chwila piękna przyleci do mnie, jak tajemniczy ptak z niewidzialnego w ciemności gniazda i będzie zwiastunem muzyki. Pozostaw mnie na zawsze z moją nadzieją na krawędzi poznania i tak do końca moich dni.

SCENA IX.

W lesie.

(Chitra okryta płaszczem.)

Panie mój, czy do ostatniej kropli wysączyłeś puha? Jestże to w istocie koniec? Nie, gdy wszystko już spełnione, zostaje jeszcze coś — to moja ostatnia ofiara u twych stóp złożona.

Z ogrodu nieba przyniosłam kwiat nieporównanej piękności, aby cię uczcił, boże serca mojego. Gdy obrzęd skończony, a kwiaty zwiędły — pozwól — niech je wyrzucę ze świątyni.

(Odrzuca płaszcz, jest w swoim pierwszym męskim stroju.)

Teraz spójrz na swego czciciela łaskawemi oczami.

Nie jestem ani tak piękną, ani tak nieskazitelną jak kwiaty, któremi cię uczciłam. Mam wiele skaz i braków. Jestem pielgrzymem na wielkiej drodze świata, szata moja zbrukana, a nogi skrwawione od cierni. Skąd mogłabym mieć piękność kwiatów i niezmacony wdzięk przelotnego życia.

Dar, który ja ci przynoszę — to serce kobiety. Tu zamknięte wszystkie bóle, rozkosze, nadzieje, lęki i wstyd córki ziemi. Tu miłość rośnie i dąży do nieśmiertelnego życia.

Tu leży w poczęciu co szlachetne i wielkie. Jeśli służba kwiatów skończona, przyjmij „to” jako służbę przyszłych dni twoich.

Ja jestem Chitra, królewską córą. Pamiętaś może dzień, kiedy jakaś kobieta zbliżyła się do cie-

bie w świątyni Sziwy, obwieszona kosztownościami i ozdobami. Ta bezwstydną kobietą pożądała cię jak mężczyznę. Odepchnąłeś ją, zrobiłeś dobrze. Panie mój, ja jestem tą kobietą. Ona była mojem przebraniem. Gdy z łaski bogów otrzymałam na rok najpromienniejszy kształt, jaki nosił kiedy śmiertelny i ciężarem tego fałszu zmęczyłam serce mego bohatera.

Po prawdzie nie jestem tą kobietą.

Jestem Chitrą. Nie boginią, która cię wielbi, ale też nie jestem przedmiotem pospolitego polito-

wania, rzuconym obojętnie jak robak. Jeśli myślisz, że jestem warta stanąć przy twym boku na drodze niebezpieczeństw i przygód, jeśli mogą podzielić wielkie obowiązki twego życia — poznasz moją prawdę. A gdy dziecię twoje, które w łonie swem noszę, będzie syn — nauczę go sama, jak ma być drugim Arjuną i gdy czas przyjdzie, pošlę go do ciebie — wtedy nareszcie poznasz mnie n a p r a w d ę. Dziś mogę ci dać tylko Chitrę, córkę królewską.

Arjuna: Ukochana — życie moje jest pełne.

Żarnowiec 1918.

Z angielskiego przełożyła LAURA KONOPNICKA-PYTLIŃSKA.



Z NAJNOWSZYCH LIRYKÓW NIEMIECKICH.

ŻAL.

ANTONI SCHNACK.

*Ja, którym z młodego wyszedł nasienia mego ojca,
 Ja, który z wiosnianej wykwitłem matki mej miłości
 I jestem na to, by z trudem koła obracać małego życia
 Nędzy, skąpego wesela, miłości, goryczy i snów błogich ...
 O, czemu kwiatem nie jestem w trawie błękitnym, co na wicherze skoszon schnie
 I nasion dojrzałość sypie w brzozy ziemi żywej wiecznie,
 By stokroć znów zakwitnąć, gdy czas przyjdzie;
 Lub drzewem, co samotnie rośnie gdzieś wśród krajobrazu
 Spoczynkiem barwnych ptaków w umęczeniu, słodkiem i cieniem drzewem,
 Co słońce pije wiecznie i lata deszcze, ponad niem skośnie w listowiu szumiące
 I przez korzeni ssących krainę w czarność płynące kamieni podziemnych ...
 Łagodnym wiatrem byłbym wszystkim, co od troski uciekają miast zawrotnych,
 Kojąc, jasny dzieciątek włos radością rozwiewając ...
 O, ja, który błękitnym kwiatem nie jestem ni samotnem w krajobrazie drzewem,
 Oblokiem białym, wietrzykiem w dziewcząt włosach ni ssącym głębi korzeniem;
 Ja, co wyszedłem z dwojga, nieświadom: mały, poznaniem przygnębion
 I tęsknie wyczekuję oczu wielkich, zdumionych śmierci zagadek,
 Pięknych i w dreszczu wieczornych woni rozmodlonych ...*

WIECZORNY WĘDROWIEC.

ALFRED LICHTENSTEIN.

*Niedzieli pyły
 leżą spalone.
 Krainie są matką
 chłody zwęglone.*

*Otwarty się znova
 tęsknoty zniszczone,
 Wznoszą się falą i
 sny zalzawione.*

MELANCHOLJA.

WALTHER RILLA.

*Krople deszczu kapią w rytmie twardym,
 Dzień ścierające w proch wieczności.
 Na asfalcie kroki tętnią i tententy.
 Śmiertelna nuda wwierca się do kości.*

*Mgła się stawiała tajemnicza
 Z ciemnic sinością wybladłych,
 Chmury chcą do snu się ułożyć
 W poduszki rozmiękle dachów zapadłych.*

*Cicho złączyły się w szczęściu bladem
 Przestrzeń i czas. Padają przez wiek
 Powoli z nieba strzępy nocy.
 Zmierzch boli. Pluszcze deszcz. Zakwitnie wkrótce śnieg.*

WIECZOR W RUDERZE.

KURT FINKENSTEIN.

*Robactwo toczy chwiejne wiązań pnie,
Wyziewy kuchni w sieni stęchle kopcą,
W gliniangch miskach wegetują źle
Odpadki, dusząc świata woń zbyt obcą.
Ze wschodów skrzeku wierci przykry ton
Robactwa pełen dom parszywy,
Przeglusza skrzyp mizerny nędznych strun,
Jęk skrzypiec frasobliwy.
Lecz zwolna zasypiają zgrzytów szmery
I wokół murów pełza szary mrok,
Zaraza siada w oknie potworem chimery
I czai się uważnie, mierząc skok.*

NOC WIANEK NOSI.

HANS GATHMANN.

*Noc nosi z trupów wianek
we włosach, w oczach krwawy pożar siódł,
pazury jej krwią ociekają, wpijają się w brankę
ciała, biednych ofiar rozerwanych w pół,*

*Samotne psy z skowytom rwą łańcuchy,
a Lęk-dusiciel w piwnic klatki zleci,
kobiety będzie dusił, kiedy rodzą dzieci,
rozpaczą starcom wprost w oczy zaświeci.*

*Poprzez gonitwę nocy pędzim i pożarów łuny
w tysięcznych grobów własnych pogrzebania,
i wyciągamy z ziemi krwawej ramion struny
ku niebu, gwiazd błagając zmiłowania.*

*W nas się objawił początek i koniec.
Noc wiemy. Dniem jesteśmy i darami jego,
kwitniemy Zmartwychwstaniem nad gruzem świata martwego
i niestrudzenie znosim miód do plastra samotnego.*

Spolszczył OLWID.



Drzewosyl oryg. — J. J. Wroniecki.

GIEST WYŻSZOŚCI.

Ilekoć pojawił się głos krytyczny polskiego pisarza nie zamieszkałego w Poznańskim, ale obserwującego duchowe i społeczne zjawiska Wielkopolan, zjawiska świadczące o systematycznym odrywaniu się psyche dzielnicy tej od pnia narodowej kultury — tylekoć stróżę porządku wielkopolskiego za właściwe uznawali występować przeciw niemiłym sobie krytykom.

Z większą zasięg srogością powstawano wówczas, gdy śmiałkiem był rodowity poznańczyk, jako że kapał pono imię gniazda, z którego się wywiódł.

Świętość pobłogosławiona już po tylekoć czcigodnemi „znachorów” prawicami była nietykalna. Obojętne czy święte naczynie, błyszczące złotem doskonałości, pełne było wina, czy też — limonady. Puhar przecież błyszczał, przeto święty był i nienaruszalny.

Bluzniercą był każden, kto odważył się pytać o puhara zawartość, a zgola już wyzuty z czci wszelkiej — kto powątpiewał o czystości wina w świętem naczyniu.

To też gdy swego czasu Woykowski a później Rabski w organach swoich podjęli walkę przeciw uświęconemu Złtu, próbując otwierać oczy społeczeństwu, wtedy prowodyrzy poznańscy uderzali przeciw nim z taką bezwzględnością i mściwością, że nie tylko podkopali ich pracę, ale w jednym wypadku mściwość aż poza grób przenieśli i ukoronowali dzieło swoje tragiczną śmiercią głodową wygnanej przez swoich, bezdomnej współpracownicy zmarłego małżonka — z Molińskich Woykowskiej, w drugim zaś wypadku nie spoczęli, aż zasłużony wielce Rabski opuścić musiał niewdzięczną dzielnicę, której bez zastrzeżeń pracę swego życia złożył w ofierze.

Wszelako zawartość świętego puhara, oczom społeczeństwa utajona, gromadziła w sobie wszelkiego rodzaju bacyle — swojskie i cudze, ale puhar błyszczał jak dawniej, błyszczał jaśniej, a oślepiął oczy ogółu, który aż widzieć przestawał, aż zapomniał rozpoznawać.

Jakież więc zawarczały grzmoty a uderzyły gromy, gdy wśród ogólnego uśpienia, wśród ciszy uroczystej a kornej adoracji błyszczącego naczynia, — „Z d r ó j” głośno zawołał, kwestionując wartość czczonego błysku złota i domagając się odświeżenia zawartości puhara.

Pięć tomów „Zdroju” świadectwem jest walki o prawdziwość czczonego klejnotu.

Wszelako walka trudna była, iż to wartości społeczne, które koniecznością były ze względu na bój rozpaczliwy z Niemcami, stworzyły pokrywę, przysłaniającą wszystkie niedostateczności i skrzywienia wewnętrznej istoty naszej społeczności.

Z chwilą, gdy pękły okowy niewoli, gdy działanie społeczeństwa ujarzmić mogło istotne jego wartości — z tą chwilą zarysowały się wyraźnie wszystkie sprzeczności w stosunku do rdzenia narodowego dwóch tamtych dzielnic, zwłaszcza zaś na tle zorjentowania się w postępie czasu, który przyniósł szerokim masom ludowym pełne prawa człowieka i obywatela wolnej Rzeczypospolitej.

Owo niezorientowanie się zaś nie polega na tem, iżby nie spostrzeżono znaku czasu i wynikłych zeń zbawczych konieczności. Przeciwnie — spostrzeżono go — nawet starano się go wyprzedzić.

Niestety nie z przekonania, nie z głębokiej w sprawę nową wiary, ale z domniemanej zrzeczności politycznej zrodziły się hasła ludowe, któremi przyodziano pospiesznie stary kadłub.

Wszystkie reklamowane głośno demokracji i szybko okazały się płaszcami wstecznictwa i reakcji.

Stąd pochodzi ono z góry starannie obmyślane i konsekwentnie przeprowadzone urabianie opinii szerokich mas dzielnicy naszej przeciw Naczelnikowi, stąd wyzyskiwanie dla własnych celów wstecznych, każdego błędu: popełnionego i niepopelnionego przez rząd polski, stąd demonstracyjny bojkot Warszawy, bojkot Polski — jako państwa zbyt demokratycznego. „Socjalista!” — oto określenie stosowane do każdego przeciwnika politycznego i niepolitycznego, określenie, które jest straszakiem na wróble, a na którego lepić idzie tłum nieświadom swojej niewoli.

Tak więc stało się, że pierwszy Sejm dzielnicowy w Poznaniu, który miał być płomienną manifestacją, stwierdzającą nierozdzielność naszą przynależność do Polski — stał się z jednej strony wyrazem lojalności względem Prus, z drugiej zaś — wyrazem animozji do dzisiejszej Polski z Piłsudskim na czele.

Musieliśmy być świadkami scen wywołujących wstępną i obrzydzenie: ci, którzy wysunęli się na czoło, a którym z oczu patrzył przesyt i pełne z losu zadowolenie, którym dla sprawy narodowej nigdy krzywdą

się nie stała, którzy zawsze siebie z sprawą samą dziwnie harmonijnie łączyć umieli — ci oto z męczeństwa polskiego naigrawać się umieli a najszczytniejsze czyny narodowe bandytyzmem, warcholstwem odważyli się mienić.

Nie roztrząsajmy już tych niezliczonych a bolesnych objawów. ale raczej odsłońmy ich źródło, które tkwi wewnątrz

Dzielnica nasza obrana z głębszej myśli twórczej, siłą narzuconego kordonu odgradzona od ziem, w których mimo najniekorzystniejszych warunków życie polskie kwitło w całej pełni, karmiła się przez z górą wiek cały pierwiastkami niemieckimi. Z braku soków żywotnych własnych, odcięta siłą zaborców i gnuśnością własną od soków rdzennie polskich, zapożyzczała sobie pokarm obcy i tak jakoś wegetowała.

Politura zewnętrzna ujawniająca się w tem, co zwiemy cywilizacją, była niekiedy dodatnią zdobyczą, od zaborcy wziętą. Wewnętrznych zaś pierwiastków wpływających uzdrawiająco na życie naszej społeczności było nie wiele, ale wad i błędów niemieckich nagromadziliśmy w sobie nazbyt wielką ilość.

Ujawniały się one przy każdej sposobności i stopniowo oddalały nas od pnia Ojczyzny, a skoro nadszedł moment bezpośredniego zetknięcia się z sercem Polski, wtedy jeden z owych, od Niemców przy-swojonych błędów czy narowów stał się zaporą w zlaniu się dzielnicy naszej z całą Polską.

GIEST WYŻSZOŚCI

Ten gość wyższości, którym częstowała Niemcy świat cały.

Wykwit grzesznej dufności w osobistą wartość. Wewnętrzna buta względem wszystkiego dookoła. Oto pierwiastek nabyty przez Poznańczyka od Niemca.

Z tymże to gościem wyższości pojechali politycy poznańscy do Warszawy. Świadomość, (raczej złuda) wielkości własnej w stosunku do przywódców tamtych dzielnic, spotęgowało się jeszcze przez niskie pokłony warszawskiej prawicy, która w poznańczykach upatrywała odsiecz przeciw — demokracji polskiej.

Pojechali politycy poznańscy z wielką miną, aby w stolicy „zrobić porządek“.

Gość wyższości wszakże zawiódł.

Ani starczyło siły moralnej, ani poparcia narodowej masy.

Gość gościem pozostał, ideji demokratycznej w tamtych zaborach nie naruszył, a pobudził ją w dzielnicę naszą.

Wszelkie zaś próby ratowania się przez zohydzanie kierownictwa państwa polskiego i szerzenie niezgodnych z prawdą wieści i charakterystyk osobistości kierowniczych — acz zmąciło opinię publiczną, to przecież ostać się nie mogło zbyt długo.

Zdrowy instynkt narodowy ludu (choć dotąd niestety wodzonego na łańcuchu reakcji, niby tańczący niedźwiedz w cyrku wędrownym) — ten instynkt przeżera stopniowo grube naskórki kłamstwa i wbrew kłamstwu odnajduje sobie drogę ku jasnej przyszłości.

Jeżeli więc mamy JUTRO stać się jednym Narodem, odepchnijmy od siebie wszystkie obce naleciałości, które nas oddalają od rdzenia narodowego, a do nich należy ów gość wyższości, z którym niefortunni politycy nasi zwrócili się do Warszawy.

Nazbyt długo mieliśmy oczy zamknięte na przeliczne ułomności naszych kierowników, którzy zawsze schlebiali nam i wmawiali, iż górujemy nad bracią zakordonową. Wypadki ostatnich miesięcy i tygodni winny były już wszystkim ludziom dobrej woli oczy otworzyć. I kiedy przywódcy nasi oficjalni w zrozumiałym celu operowali hasłem „jedności“, to społeczeństwo powinno było umieć odróżnić jedność narodową od jedności dzielnicowej.

Jedność dzielnicowa jest zdradą sprawy narodowej!

Precz zatem z hasłem jedności, która zwrócona jest przeciw zjednoczeniu Polski!

A skoro polityczni przywódcy nasi nie zdołali w chwili decydującej wzbicić się ponad hasła dzielnicowe, społeczeństwo, pragnące całą duszą zjednoczonej Polski, usunąć ich musi, a powołać na ich miejsce POLAKÓW nie zaś poznańczyków.

Precz z patryjotyzmem podwórkowym! precz z wynoszeniem jednej dzielnicy nad drugie! precz z GIESTEM WYŻSZOŚCI!

JERZY HULEWICZ.

WIELKI KRÓL

DRAMAT W 3 AKTACH

AMALJA HERTZÓWNA

(C. D.)

AKT III.

Uroczyste silentium w wielkim tryklinium pałacu. Pośrodku na tronie Basileusz Justynian, starzec niemal stuletni, okryty wielkim, wspaniałym płaszczem cesarskim, z koroną na głowie. Z prawej jego strony siedzą: Patryjarcha i Justyn, syn Wigilancji, europalatus, z lewej strony Justyn, syn Germanosa. Obok nich stoją: prefekt Praetorio Wschodu, Piotr Barsymes, Belizar, kweator, Konstanty i dwóch innych dostojników, za nimi urzędnicy dworacy i żołnierze gwardji cesarskiej, a przy trzech bocznych drzwiach: senatorowie, patrycjusze i magistrowie, każdy stan przy innych drzwiach. Pośrodku sali Praepositus i Magister ceremoniarum. Przed tronem Silentarjusz na kolanach.

BASILEUSZ: Czy schwytano zbrodniarzy?

SILENT: Tak, wasza świętobliwość.

BASIL: Przeszukano ich?

SILENT: Tak, wasza świętobliwość.

BASIL: Co znaleziono?

SILENT: List, wasza świętobliwość, miecz krótki. *(Basileusz prawie niepostrzeżenie zwraca oczy na praepositusa. Ten podchodzi do silentarjusza, bierze z jego rąk list i miecz i na klęczkach podaje je cesarzowi. Basileusz odrzuci oręż, czyta tabliczkę, następnie zwolna, jakby z trudem odwraca głowę i patrzy na Justyna, syna Wigilancji)*

BASILEUSZ: *(patrząc na Justyna)* Przyprowadźcie zbrodniarzy do tej sali. *(Silentarjusz wstaje i wychodzi)* Justynie!

JUSTYN: Wasza świętobliwość.

BASIL: Każ zawołać swoją córkę, Justynie *(odwraca głowę)* Niech przyjdzie jeden z referendarzy.

JUSTYN: *(blednąc, bełkoce)* Moja małżonka Zofia....

BASIL: Każ zawołać swoją córkę, tylko swoją córkę.... Zrozumiałeś. *(Justyn odwraca się i mówi kilka słów do eunucha, stojącego za jego krzesłem, w tej chwili wprowadzają Sergjusza i silentarjusza Pawła pod strażą)*

BASIL: *(do referendarza, który nadszedł tymczasem i stoi z tabliczką i gryflem w ręku u stóp tronu, oczekując rozkazów)* Pytaj.

REFEREND: *(do Sergjusza)* Twoje imię?

SERGJUSZ: Sergjusz, syn Doroteusza, dowódca doryforów jego dostojności patrycjusza Belizara.

BASILEUSZ: *(odwracając głowę w stronę Belizara)* A więc jednak. *(Do referendarza)* Czy przyznaje się do winy?

REFEREND: Czy przyznajesz, że wtargnąłeś do pałacu w zbrodnym zamiarze... *(urywa zmieszany)*.

BASIL: *(do referendarza)* Mów dalej *(ponieważ Referendarz milczy, dodaje)* zamordowania świętej osoby basileusza.

SERGJUSZ: Do winy się nie przyznaję.

REFEREND: Znalaziona pod twoją tuniką broń świadczy przeciwko tobie.

SERGJUSZ: Spróbuj bez broni przejść nocą przez ogrody świętego pałacu.

BASIL: Dlaczego przyszedł tutaj?

REFEREND: Dlaczego przyszedłeś....

SERGJUSZ: Nie jestem głuchy.... przyszedłem z rozkazu patrycjusza.

BALIZAR: Kłamiesz.

SERGJUSZ: Doryfor Marcellus, któremu wasza dostojność kazała towarzyszyć sobie na silentium zachorował, więc ja...

REFEREND: Dlaczego chciałeś przemocą wdrzeć się do pałacu?

SERGJUSZ: Nie przemocą... Kazałem tylko zawołać mego przyjaciela Pawła, bo sprzykrzyło mi się stać na dworze, w nocy *(urywa)*.

REFEREND: *(nie ciągnie dalej indagacji, zamambasowany, wreszcie po krótkim milczeniu: Możeby tortury...*

(Nikt mu nie odpowiada. W tej chwili wchodzi księżniczka Eudoxia, Basileusz podnosi się ze swej wólającej pozycji i wlepia przenikliwie, ostre, młode oczy w dziewczynę. Eudoxia nie zmięszana pada przed nim na twarz i powstaje).

BASIL: *(głos mu się zmienił, mówi teraz prędko, urywanymi zdaniem):* Znasz tych ludzi?

EUDOXIA: Nie.

BASIL: Sergjusz utrzymuje, żeś mu naznaczyła schadzkę w pałacu.

EUDOXIA: *(plując w twarz Sergjuszowi):* Psie... Strach ci chyba rozum pomieszał. Nigdy go nawet nie widziałam.

BASIL: *(do referendarza):* Pisz, księżniczka zna Sergjusza, syna Florusa...

REFEREND: *(pisząc, powtarza):* Sergjusz, syna Doroteusa...

BASIL: *(drgnął):* Ah!

(Eudoxia milczy, marszcząc brwi).

BASIL (do Eudoxii): Który z nich jest twoim kochankiem? Obaj może?
(Eudoxia zacina wargi).

BASIL: Odpowiadaj, przed sędzią swoim stoisz.

(Eudoxia milczy).

BASIL (do Sergjusza i silent. Pawła): I wy także... Mówcie. Wyznajcie waszą winę... Błagajcie o moją łaskę, póki jeszcze chcę i mogę przebaczyć (osuwają się na krzesła i, patrząc w przestrzeń, mówią wolno i cicho). Bo ja nie czuję do was gniewu, o mordercy moi, i żaluję, że czyjeś usługne ręce zasłoniły tron mój przed wami... Stary jestem i zmęczony, spragniony spokoju i ciszy, którą znaleźć można tylko w grobie...

PAWEŁ (drżącym głosem): I w klasztorze, wasza świątobliwość.

BASIL (zrywając się, ostro): Gdybym dzieci miał, ale te dwie żmije, wyhodowane na mojem łoniel (wskazuje synowców swoich, Justyn, syn Germanosa rzuka mu krótkie spojrzenie, curopalatus chce protestować, cesarz ciągnie dalej). W czyje ręce złożę rządy świata, komu oddam ludy, powierzono mi przez Boga? Czy temu głupiemu żołdakowi, który tylko grabić i łupić potrafi...

JUSTYN, SYN GERMANOSA (zrywając się z krzesła): Za co? Jak ten pies stałem na granicy perskiej.

JUSTYNJAN (mierząc go zlemi oczyma): Milcz... Czy temu chytremu lisowi, temu zdrajcy zdrajców, bo on was zdradził, słyszycie, on, który was do spisku namówił, on, który... (urywa) zaprzecz, jeżeli możesz, Justynie.

PAWEŁ: A co będzie po śmierci waszej świątobliwości?

(Poruszenie na sali, wobec bezprzykładnej bezczelności silentarjusza. Basileusz drgnął i wstrząsnął się).

KWESTOR: Wasza świątobliwość robi za wielki zaszczyt tym łotrom, mówiąc do nich, tortury wymuszają z nich zeznania.

BASIL (dając mu znak ręką, żeby milczał): Gdy Bogu spodoba się powołać mnie do swojej chwały, znajdzie Pan nasz i następcę, na którego barkiłoży ciężar... (zrywając się i pochylając). A wy kogo upatrzycie na cesarza... Którego z tych dwóch, myślę? Żadnego? Wy sami chybacie o koronie nie marzyli... Komuście ją dać chcieli? (wodziąc oczyma po obecnych). Przyjrzyjcie się im... Każdy godny korony? Co? Krew niewinna na rękach, pycha i chciwość w sercach, myśli lubieżne w duszy. Nie ma grzechu, którymy się nie zmazali i zbrodni, którejby nie popełnili. Oto siedzą upici krwią i dojrzały do śmierci, jak syte pijawki na trupie konia...

I sądzą, że nie znam ich przestępstw, i wierzą, że mnie oszukać potrafią. Ale ja wiem wszystko (zamyślony). Tylko rządzić nie umiem bez nich i przeciw ich woli (po chwili, ostro). Imię tego, który miał być cesarzem po mnie.

PAWEŁ: Świat nie kończy się na złoczonej sali posiedzeń.

BASIL (dając ręką znak referendarzowi, który coś notuje skrzętnie): I gwałt się nie kończy, i łupiestwo, i siedm grzechów głównych... Oto królestwo moje na tej ziemi, królestwo łotrów, zbójów, złodziei, strzygących głupie owce ludzkie do dziesiątej skóry, bo się dają, bo milczą, bo... (urywa).

PAWEŁ: Daj innemu, panie, spróbować, czy lepiej rządzić nie potrafi...

BASIL: (stanowczo). Nie, nikt nie odwróci kłęski, wiszącej nad miastem, gdy ja jej zażegnąć nie mogłem...

SERGJUSZ: O, nieprawda, jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze dość nas w Bizancjum młodych i silnych i śmiałych... Niech tylko przyjdzie ten, co zechce poprowadzić nas do zwycięstwa, młody i silny i śmiały, jak my...

BASIL: Kto poradzi przeciw woli Bożej?

SERGJUSZ: Przynajmniej nie posłałby Hunnom okupu po zwycięstwie.

BASIL: A więc daj tego? O, nie doniosą swoich skarbów nad Dunaj. Dałem znać Awarom, że Hunnowie wracają, obławowani zdobyczą i teraz, w tej chwili może, ku chwale Rzymu, barbarzyńcem morduje barbarzyńca o złoto bizantyjskie.

SERGJUSZ: Gdyby nie wstrzymano pogoni, Awarowie nie mieliby kogo mordować.

BASIL: (osuwając się na krzesło). Dość... Odczytaj zeznania oskarżonych, referendarzu.

REFEREND: Sergjusz, syn Doroteusza i Paweł, syn Florusa, przyznają, że przybyli do świętego pałacu w celu zamordowania najjaśniejszego Basileusza Justyniana. Do czynu tego pobudziła zbrodniarzy okoliczność, że zapłacona została danina Hunnom po zwycięstwie. Na tronie zamierzali osadzić nieznanego człowieka, nie pochodzącego z rodziny cesarskiej.

SERGJUSZ: Kłamstwo, żaden z nas tego nie powiedział.

BASIL: Belizarze, czy protokół zgadza się z zeznaniami oskarżonych?

BELIZ. (smutnie): Niestety tak, o Sergjusz.

SERGJUSZ: Chciałbym wiedzieć, kto z nas wydał, który z tych podłych łotrów.

BASIL: Ostrzeżony zostałem przez najuchalszego mego siostrzeńca, Justyna, zarządcę pałaców.

SERGJUSZ: Więc naprawdę...

SILENT (*do Justyna*): Życzę ci, panie, dużo szczęścia... Jesteś cokolwiek podlejszy, niż sądziłem, ale niewiele...

JUSTYN (*milczy*).

BASIL: Stuszenie robisz, Justynie, że nie odpowiadasz na tę obelgę... Trzeba przebaczać... (*z naciskiem*) umierającym. (*Milczenie*).

PATRYJARCHA: Miłosierdzie twoje, panie...

BASIL: Z mocy swego urzędu musisz domagać się łaski... Przypuść, żeś już powiedział długą, nudną mowę, i milcz (*do oskarżonych*). Wy zaś pamiętajcie, że życie wasze jest małym, szarym ptaszkiem w moim ręku (*wyciąga i zamyka rękę*).

PAWEŁ: Wiemy, panie, i dla tego szykujemy się na śmierć.

BASIL: Kto spiskował razem z wami...

SERGJUSZ: Nikt, my dwaj tylko...

BASIL: Kłamiesz, nigdybym o spisku nie wiedział, gdyby was więcej nie było... (*urywa, po chwili*). Jestem źródłem wszelkiej łaski, ale nie mogę przebaczyć, póki wiem, że tam w ciemności czyha na mnie śmierć.

PAWEŁ: Śpij spokojnie, panie, wszystko skończono.

BASIL: Nie wierzę... Ich nazwiska... Być może, że nie ukarzę ich wcale, ale chcę wiedzieć, kto mi jest wrogiem, bo nie mogę żyć z mieczem, wiszącym nad głową moją.

PAWEŁ: O, panie, nie jesteśmy dziećmi.

BASIL: Jak śmiesz mi nie wierzyć, mnie, cesarzowi twemu. Odpowiadaj kto...

SERGJUSZ: Dosyć, daj nam chwilę spokoju, panie, przed śmiercią.

BASIL: Nie słyszałeś, że radzono mi użyć tortur... Czy moje słowa straszniejsze są od narzędzi katowskich, że wolisz?

SERGJUSZ: Wolę, wolę... Byłe stąd wyjść (*opiera się o ścianę*).

BASIL: Odepchnijcie go od muru, niech stoi prosto przed naszym obliczem... Ich nazwiska... Życie za życie, Sergiuszu...

SERGJUSZ (*próbując się uśmiechnąć*): Jesteś złym kupcem, panie, nie dobijesz targu.

BASIL: Który z tych obwieszonych złotem łotrów jest waszym współnikiem (*wodząc oczyma po zebranych*). Piotr, Barsymes, Belizarjusz, Patryarcha (*zwraca znów oczy na Sergiusza*).

SERGJUSZ: Nikt, nikt.

BASIL: Wydaj ich... Na twojem miejscu każdy by cię zdradził, każdy, nie znasz ich tak, jak ja... Wydaliby cię na jedno groźne zmarszczenie

moich brwi, na jedno skinienie moje, a może za jedną sztukę złota... Zrób, jak oni.

SERGJUSZ: Nie, nie... O, przez litość, panie, każ nas zaprowadzić do więzienia...

BASIL: Nie pójdziecie do więzienia, nie chcę tortur, nie chcę odkładać i zwlekać... Przed palacem czeka na was ksiądz i kat (*głośno*). Pomiedzy wami, a śmiercią stoi tylko moja wola.

SERGJUSZ: Dziś (*zakrywając sobie twarą rękoma*). Oh!

PAWEŁ (*cicho*): Już dziś... Koniec więc...

BASIL: Nazwiska współników twoich, a żyć będziesz...

SERGJUSZ: Nie, nie... Przecież jeszcze sądu nie było... I jakże to, już... Bez obrony nawet... Gdzie sędziowie moi... Dajcie mi mówić, dajcie mi choć myśli zebrać... Wasza świątobliwość nie ma prawa.

BASIL: Jestem najwyższym sędzią i wola moja jest prawem... Czy nic nie zeznasz?

SERGJUSZ: Nie, wolę jednak umrzeć.

PAWEŁ (*biorąc go za rękę*): Chodź.

SERGJUSZ: Nie dotykaj się mnie... To ty wszystkiemu winien jesteś, twoje gadanie... O, dlaczego, dlaczego dałem się wciągnąć do spisku, przecież mnie tak dobrze było na świecie.

BASIL: Młody byłeś... Życie stało przed tobą i czekało na ciebie... Pamiętasz? wszelkie szczęście na ziemi. Prawda, zwycięstwo? O, ty mnie rozumiesz, Sergiuszu. — Zwycięstwo w amfiteatrze, bieg rączych koni, twoich rączych koni u mety... Zwycięstwo na polu bitwy, usypane w kopce ciała wrogów, wrzawa i krzyk pogoni, zdobycz, godna okupu króla, trjumfalny wjazd do miasta, i tam w mgłach przyszłość, konsulat, dowództwo nad wojskami, a może nawet złota korona basileuszów, nie, więcej jeszcze, władza nad światem, nad całym światem, jak niegdyś, jak przed latami, imperatorze rzymski (*urywa*). To wszystko było twoje i wszystko umrze z tobą za chwilę przed palacem moim...

SERGJUSZ: O! (*placze*).

PAWEŁ: Nie płacz... Grałeś i przegrałeś... Zapłać swoją stawkę, jak mąż...

BASIL (*wskazując Eudoksy*): Spójrz na nią, czy nie piękna... Księżniczka, dziedziczka tronu, ale w twoich objęciach tylko kobieta (*podnosząc tabliczkę, podaną mu przez praeposytusa*). Oto słowa jej, najśodsze słowa, pisane do ciebie... I ślady twoich ust (*urywa*). Szaleńcze, czy ona warta takiej miłości... Są inne, młodsze, piękniejsze, bardziej rozkochane, wszystkie czekają na ciebie, i wszystkie będą twoje, jeżeli zechcesz; bo cały świat należy do młodości i życia... Przysięgam wam, że więcej jest goręczy

w starości, niż w śmierci... Ale ty mógłbyś jeszcze bardzo długo być młodym, Sergjuszu.

PAWEŁ: Młodość nie jest tak piękna, jak się starcom wydaje i życie także nie.

BASIL: Sergjuszu, to było, a teraz kat oczekuje cię za progiem tej sali i śmierć.

SERGJUSZ (*padając na kolana*): O, żyć, za wszelką cenę żyć!

PAWEŁ (*zatykając mu usta ręką*): Pamiętaj, że gorzko jest umierać, nie gub ich.

BASIL: Rozdzielcie oskarżonych! (*Straż odsuwa Pawła od Sergjusza*). Kto brał udział w spisku?

SERGJUSZ (*wstając z klęczek*): Nie... Niech wasza świętobliwość zwróci się do niego (*wskazuje Justyną*).

BASIL (*Jakby rozważając jego słowa*): Justyn? Tybyś prędzej mi wszystko wyznał, Justynie, co? Prawda. (*Nagle groźnie*). Nie chcę (*do Sergjusza*). Bez rad się obejdę, ty mi wydasz swoich współników, ty jeden. Ich nazwiska, słyszysz...

SERGJUSZ: Nie, wasza świętobliwość... O, wyprowadźcie mnie stąd, choćby na śmierć.

BASIL (*miętko*): Dlaczego się tak spieszysz do śmierci, Sergjuszu... Gdybym był tobą... Patrz, upij wzrok światłem tych ścian, napełnij uszy dźwiękiem mowy ludzkiej, bo wielka ciemność idzie na ciebie i milczenie, i między tobą, a światem żyjących... (*urywa*). Kto brał udział w spisku...

SERGJUSZ (*ledwo dostłyszalnym głosem*): Antemjusz, syn Antemjusza z Trallesu, Marcellus, doryfor ze stronnictwa zielonych i Joannes. (*Głos jego się łamie*).

PAWEŁ: Kłamiesz, my dwaj tylko i curopalatus Justyn.

BASIL: Wiem, był waszym współnikiem (*do Justyna*). Dałbym rok życia, a nie mam ich za wiele przed sobą, żeby odgadnąć, dla czego tyś ich wydał... Złakłeś się w ostatniej chwili, co? Boś ty naprawdę spiskował, Justynie (*do Sergjusza*). Kto wiecie?

SERGJUSZ: Nikt, nie pamiętam, nie wiem... O Matko Boga jedynego!

BASIL: Zapomniałeś najważniejszego prześcępcę. Patrycjusz Belizar.

BELIZAR: Jestem niewinny.

BASIL: Naprawdę? O ty! Od dwudziestu lat czuję cię w każdym spisku przeciwko naszej osobie, od dwudziestu lat wlepiasz oczy w moją koronę i czekasz, czekasz... Ty niewdzięczny, fałszywy sługo, ty beczelny kłamco, ty podstępny łotrze... Ułowiłem cię nareszcie, węžu. (*Wskazując Sergjusza*). Dowódca twojej straży miał mię zabić... Ośmiel się zaprzeczyć, żeś ty uzbroidł jego rękę.

BELIZAR: Na krzyż przysięgnę, że m do spisku nie należał. Czy to wystarczy?

PATRYJARCHA: Musi wystarczyć.

BASIL: Jeśli ja zechcę...

SERGJUSZ: Na zbawienie duszy mojej, patrycjusz o spisku nie wiedział.

BASIL: A może o nim nie wiedziała... ona? (*wskazuje księżniczkę Eudoxię*).

SERGJUSZ (*wlepiając wzrok w ziemię*). Księżniczka Eudoxia.

EUDOXIA: Powiedz, że nie wiedziałam, przysięgnij, jakieś przed chwilą przysięgał, że m niewinna... mów, na śmierć mię skazujesz swoim milczeniem (*bierze go za rękę, miętko*). Choćby dla tego, że m cię kochała.

BASIL: Przed chwilą zaparłaś się swego kochanka, Eudoxio.

EUDOXIA: Bom go znów tak nie miłowała, żeby dla niego pójść do klasztoru (*do Sergjusza*). O, dla czego dajesz mi czekać... przecież to tak łatwo... Powiedz, żeśmy mówili tylko o naszej miłości, o sobie, o wszystkim, tylko nie... Sergjusz!

SERGJUSZ (*odwracając się od niej*): Co to pomoże, księżniczko, on wie wszystko.

EUDOXIA: A choćby wiedział, a choćby czytał w twoim sercu, a choćby miał tysiące dowodów... Zaprzecz, powiedz mu że kłamie, powiedz, że wolisz umrzeć niż... (*Sergjusz milczy*). Nie... (*odstępując od niego do Basileusza*). Jestem winna, czy zadowolony jesteś, panie?

BASIL: Ja? Czy nie widzisz, jak strasznie cierpię w tej chwili (*miętko*) moje dziecko.

EUDOXIA: Nie kłam, cieszysz się... Nienawidzisz mię i nienawidziłeś od chwili urodzenia mego, bo ty już wtedy byłeś stary... zazdrościłeś mi mojej młodości, wiem, wy wszyscy mi zazdrościcie, chociaż umrę za chwilę, mojej gorącej krwi i mego dumnego serca... Bo straszna jest starość... I jeśli dziś nie boję się śmierci (*poprawia się*) nie tak bardzo boję się śmierci, to tylko dla tego, że wolę umrzeć, niż być tak, jak wy, pośmiewiskiem ludziom, obrazą Bogu na ziemi.

BASIL: Ty się nie zestarzejesz, Eudoxio.

EUDOXIA: Wiem, skazesz mnie na śmierć... I wszystko mi jedno.

BASIL (*do Justyna*): Justynie, nie ma gorszego przekleństwa, niż bezdzietność.

(*Justyn próbuje odpowiedzieć, ale głos nle wydobywa mu się z gardła, zbielate jego wargi poruszają się bez dźwięku*).

BASIL: Nie będziesz już miał innych dzieci, Justynie, za starzy jesteście, ty i żona twoja. Mógł-

był cię na śmierć skazać, Justynie, boś ty naprawdę spiskował przeciwko mojej świętej osobie, ale wolę ukarać cię inaczej. Eudoxio, czy żałujesz swoich zbrodniczych zamiarów?

EUDOXIA: Żałuję, że pozostały tylko zamiarami.

BASIL: Jesteś okrutna, Eudoxio. Dlaczego pastwisz się nademną, za co? Czyż cię nie kochałem, czy nie byłem ci ojcem i matką zarazem, bo rodzice twoi... (*urywa*). O jedyna radości oczu moich, ostatnie moje szczęście na ziemi, ty, która masz oczy mojej Teodory. Jakże mogłaś, córko, obłudnie całować mi ręce, wiedząc, że śmierć mi grozi.

EUDOXIA: Pora ci było umierać. Dlaczego żyjesz tak długo... Dość jest starców w Bizancjum... Słońce się zestarzało, patrząc na was, ziemia się wzdrzga. Ful (*wstrząsa się*).

BASIL: Gdybym cię posłał do klasztoru, Eudoxio.

EUDOXIA: Nie chcę do klasztoru... Jestem cesarską księżniczką i chciałabym być kiedyś cesarzową, a jeśli nie...

BASIL: W takim razie musisz umrzeć, bo ja nie mogę dopuścić, żebyś po mojej śmierci światem rządziła ty.

EUDOXIA: Nazywaj to, jak chcesz... Wiedziałam zaraz, że mi nie przebacysz, i dla tego nie błagałam o litość... Zawiodłeś się. Prawda? Myślałeś pewno: będzie nogi moje całowała... Otóż właśnie, nie (*przechylając głowę w stronę Sergjusza*). A jemu darujesz życie?

BASIL: Przyrzekłem.

EUDOXIA: Ty mię naprawdę kochałeś, panie, tak mi się wydaje, teraz gdy przypomnę sobie... i dlatego spełniz mi jedną, jedyną prośbę przed śmiercią. Jedną to nie dużo... I nie za trudną, panie.

BASIL: Mów.

EUDOXIA: Każ go zamurować w podziemiach klasztoru, niech żyje tam, aż włosy w mur mu wrosną, aż mu ciało odpadnie od kości, aż nam znacznie zazdrości śmierci, nam, którzy umieramy przez niego...

BASIL: Prośba twoja zostanie wysłuchana.

SERGJUSZ: Odwołuję swoje zeznania... Przysięgam, że nikt nie jest winny oprócz mnie... Z młodusznego strachu wymienilem nazwiska swych przyjaciół...

PRAEPOSITUS (*na znak cesarza*): Rozkaz wydany.

MAGIS. CEREM.: Zamilczcie.

(*Głębokie milczenie panuje na sali, wszyscy stoją nieruchomo*).

BASIL: Mocą swojej władzy skazuję doryfóra Sergjusza na zamurowanie w podziemiach klasztoru Dalmatusa, a silentariusza Pawła i księżniczkę Eudoxię na śmierć... Wyprowadźcie skazanych, i niech wyrok będzie wykonany dziś w nocy... (*po chwili*). Czy sprawiedliwie osądziłem?

(*Niektórzy z obecnych milczą, inni nieśmiało*): Tak.

KWESTOR: Wyrok twój, panie, musi być sprawiedliwy, bo ty jesteś sprawiedliwością samą. Czasami obawiam się, że jak Eljasz za życia jeszcze zostaniesz porwany do nieba.

(*Tymczasem straż wyprowadziła Sergjusza i Pawła i zbliża się do księżniczki Eudoxii*).

EUDOXIA: Już! Nie... Jeszcze chwilę... Moja matka niech przyjdzie... Jakże ja sama, wobec tylu ludzi, tylu obcych ludzi... Moja matka...

BASILEUSZ: Niech Zofja oczekuje skazaną przed pałacem, ale do mnie jej nie wpuszczać, ani dziś, ani jutro.

EUDOXIA: Dlaczego nie wstawiacie się za mną, wy wszyscy, którzy jutro żyć będziecie (*bada oczyma wszystkie twarze z westchnieniem*). Nikt... Choćby ty, ojciec... Ja wiem, że to nic nie pomoże, ale błagaj, błagaj go o życie moje (*milczenie, wszyscy patrzą na Justynę, który siedzi nieruchomo, błądy, jak płótno*). Jestem twojem jedynym dzieckiem, ojczcie. (*Milczenie*). Moja matka była chyba tak rozpustna, jak cesarzowa Teodora, twoja małżonka, panie, bo to przecież nie jest moim ojcem.

BASILEUSZ: Wyprowadzić skazaną.

EUDOXIA: Jeszcze, jeszcze chwilę (*straż zatrzymuje się*). Choćby do jutra... (*z nagle postanowieniem*). Nie, raz skończyć trzeba (*wychodzi pod straż*).

PATRYJARCHA: Miłosierdzia, panie, umieliście niegdyś przebaczać.

BASIL: Byłem młodszy wtedy,

PATRYJARCHA: W imię Pana naszego, Chrystusa.

BASIL: Ojciec Sebatjusz oczekuje waszą świątobliwość w mojej sypialni, i ja przyjdę tam niedługo... Ani słowa więcej... Zapomniałeś widzieć, że od tygodnia śmiesz być innego zdania, niż ja, (*mierząc go ziemi oczyma*) i że (*półgłosem*) nie byłbyś pierwszym patryjarchą, skazanym na wygnanie przeze mnie.

PATRYJARCHA: To będzie, jak się Bogu spodoba, panie.

PRAEPOSITUS (*na znak Basileusza*): Rozkaz wydany.

MAG. CEREM.: Rozejdźcie się.

(*Stojący u ścian patrycjusze, senatorowie, magistrowie, jako i służba dworska wychodzą bocznymi drzwiami, natomiast wyżsi urzędnicy przechodzą przed cesarzem i padają przed nim na twarz. Patryjarcha jedynie poprzestaje na ukłonie. Justyn, syn Wigilancji, pozostaje bez ruchu, jakby zemdlny, na podłodze. Robi się zamieszanie, ale dwóch silentariuszy podnosi go i, nawpół unosząc, wyprowadza. Belizariusz podchodzi do Praepositusa, który usunął się nieco na stronę i zamienia z nim słów kilka. Tymczasem vestiarji zdjęli już z nieruchomo siedzącego cesarza płaszcz i koronę. Praepositus pada na twarz przed tronem i pozostaje w klęczącej postawie.*)

PRAEPOSITUS: Patrycjusz Belizar prosi o posłuchanie.

BASILEUSZ: Dobrze.

BELIZAR (*podchodzi i pada na twarz*).

BASIL: Wstań, patrycjuszu i mów byle prędko (*przesuwa ręką po czole*). Zmęczony jestem... Ojciec Sebastjusz i Patryjarcha czekają na mnie.

BELIZ: Czy mogę prosić o posłuchanie bez świadków?

BASIL (*daje znak ręką*).

MAGIST. CEREM.: Rozejdźcie się. (*Straż i reszta służby opuszcza salę, pozostają tylko Justynian na tronie, przed nim Belizar. Basileusz leży znów w swoim krześle, jest błądy i bardzo stary*).

BASIL: Czekam.

BELIZ: Wiedziałem o tym spisku, panie.

BASIL (*bardzo zmęczony*): Chciałeś przysięgać na krzyż...

BELIZ (*kończąc*): Żem w nim udziału nie brał, i teraz jeszcze przysięgnę.

BASIL: Tak, nie pamiętam zresztą, ale chcę ci wierzyć, patrycjuszu, bo zmęczony jestem i dość mam tego wszystkiego. (*nie bez ironji*) Ach, wiedziałeś tylko... Czego żądasz za to, żem cię niewinnie posądził?

BELIZ: Zasłużyłem na śmierć, panie.

BASIL: Co mi po twoim życiu, stary, niech umierają młodzi.

BELIZ: Więc wolno mi odejść, panie...

BASIL: Tak prędko... Ja ci jeszcze nie przebaczyłem, patrycjuszu...

BELIZ: Sądziłem...

BASIL: Darowałem ci tylko życie, jakem je Sergjuszowi darował. (*Belizar robi ruch pełen zdziwienia i przerażenia*). Nie bój się, nie mam zamiaru cię ukarać, ale jeszcze ci przebaczyć nie mogę... Mów, usprawiedliwiasz się, a może... Jes-

teśmy sami... Nikt nie stoł między nami... Ty często uskarżasz się na urzędników dworskich, wiem o tem...

BELIZAR: Czego wasza świątobliwość żąda ode mnie?

BASILEUSZ: Chcę pomówić z tobą. Dlaczego przyznałeś się do winy dobrowolnie?

BELIZ: Nie wiem... Tak nagle życie mi obrzydło i podłość ludzka (*z gniewem*) Ten Konstanty...

BASILEUSZ (*zdziwiony*): I Konstanty?

BELIZAR: Wasza świątobliwość nie słyszała...

BASIL: Nie wiem, nie pamiętam... Stary jestem i zapominam, z każdym rokiem bardziej... Przed chwilą pomięszałem imiona ojców Sergjusza i Pawła i złąkłem się śmiertelnie swego niedołęstwa.

BELIZ: Przeklęta jest starość...

BASILEUSZ: Nasza starość jest przeklęta... Tyle lat życia i nic... pustka przed nami i za nami.

BELIZ: Czy to moja wina. Kto zburzył, co ja budowałem? Czy nie zdobyłem pół świata, czy nie przyprowadzałem ci królów barbarzyńskich niewolnikami do stolicy twojej, czy nie osypałem łupami ulic Bizancjum... Coś ty zrobił ze zwycięstw moich? Nic, nic... Co rok odpadają prowincje od państwa, prowincje, które ja zdobyłem, a ty milczysz. Na co czekasz jeszcze?... Przeżyłem dzieło mego życia, a może przeżyję i Rzym... przez ciebie.

BASIL (*z wyrzutem*): Przeze mnie, o Belizarze.

BELIZ (*ze wzrastającym gniewem*): Tyle krwi, tyle trudu, tyle bólu... Czy ja jeden byłem... Życie nam ukradłeś, wykreśliłeś nas z księgi żyjących... Dlaczego, dlaczego? Czy to prawda, że jesteś demonem ciemności, zesłanym na ziemię za grzechy nasze, czy to prawda, że nas nienawidzisz i że umyślnie...

BASIL: Dość...

SILENTAR (*wchodząc*): Wyrok wykonany (*wychodzi, Basileusz i Belizar nie zwracają na niego uwagi*).

BASIL (*ciągnie dalej*): Ty także, Belizarze. Myślałem, że tylko motłoch uliczny powtarza te brednie.

BELIZ (*zawstydzony*): Wybacz, panie.

BASIL: Nie, nie wybaczam... Kto ty jesteś, że śmiesz znieważać mnie słowami za pracę moją, za trudy moje. Włożyłem duszę moją w mury Bizancjum, i dusza moja umiera razem z miastem, a wy przeklinacie mnie za klęski, za własną słabość i niedołęstwo; za wolę Bożą, która wam ginąć każe... Czego chcesz ode mnie... Walczyłem, póki mogłem,

a teraz (*macha ręką*). Jestem nieszczęśliwszy od ciebie, Belizarze, bo chciałem więcej...

BELIZAR: Więc musimy zginąć?

BASILEUSZ: Belizarze, Bóg tak chce...

Stary jestem, umrę niedługo... (*Po chwili szeptem*). Boję się śmierci, bo ze mną umrze dzieło życia mego, bo ze mną umrze Rzym, który odbudowałem, wszystko, wszystko... Tylko póki ja żyję, za cnoty moje, za wiarę moją, za długoletnie trudy... A później nie, wielka ciemność... Koniec Bizancjum... Ja jeden stoję między miastem i zagładą... ja jeden, któregoście zgładzić chcieli... O, zbrodniarze, gorsi od Kaina, czy nie wiedzieliście na kogo rękę podnosicie? Ale ja cię nie ukarzę, Belizarze... Śmierć cię czeka, ciebie i imię twoje i to, co wzniosłeś w pocie swego czoła. Bóg cię ukarał bardziej, niż ja bym cię ukarać potrafił, kiedy wiesz, że żyłeś na próżno, że umrzesz bezpotomnie (*urywa, po chwili*). Jak ja.

BELIZARJUSZ: O, tobie zostanie zawsze święta Zofia...

BASILEUSZ: Podczas ostatniego trzęsienia ziemi zawałiła się jej kopuła (*milczenie*. *Basi-*

leusz schyla się i podnosi niewielką glinianą amfore, stojącą przy tronie). Podejdz...

BELIZARJUSZ (*podchodzi*).

BASILEUSZ (*pokazując mu amfore*): Widzisz te znaki? Ja ich przeczytać nie umiem, ani ty, ale mówił mi pewien egipcjanin, że to imię króla, wielkiego króla...

BELIZAR: Egipskiego?

BASILEUSZ: Nie wiem, może (z naciskiem). Wielkiego króla imię (*podnosi naczynie i rzuca je na ziemię*). Patrz, co się z jego wielkości zostało (*z ciężkiem westchnieniem*). Bo wieczny jest tylko Bóg... (*Powstaje z tronu i kieruje się ku wyjściu*. *Belizar pada na kolana*).

BELIZAR: Wasza Świątobliwość mi przebacza.

BASIL: Żyj... Chcę, żebyś widział, co po mnie będzie.

(*Wychodzi. Belizar, nie podnosząc się z klęcek, zbiera okruchy dzbanka i układa z pietyzmem imię wielkiego króla, imię, którego nikt przeczytać nie umie*).

K O N I E C .



Rysunek — Pablo Picasso.

GÓRY

PETR BEZRUC

*Tam pod górami niebosiężnemi
z podniebnym stromym giestem
ciągnie się ziemia niewypowiedziana,
majestatyczna, nieporównana,
wołając: Piękną jestem!*
*Pole odmierzono. — Chłop orze je w pocie,
lecz chłop jest tylko u pana w robocie!
Choć orał, zniwował dziad i syn na roli,
orał w niewoli.
Ból pnie się po życiu jak ta góra pnie się.
Już Jaso Krasula tego nie zniesie;
lecz nędzę i nocny bunt sptaci objatą
za twardą kratą.
O dziewczki, dziewczęta, skorupki nad drogą!
Głód wstyd przygłusza, usta zgubić mogą!
Leśnicy — cóż, że żółć i gniew się czają? —
łatwo was mają.
Tam pod górami niebosiężnemi
z podniebnym stromym giestem
ciągnie się ziemia niewypowiedziana,
majestatyczna, nieporównana,
wołając: Nędzą jestem!*

Spolszczył OLWID.



MISCELLANEA

„Wesele” Wyspiańskiego w Teatrze Poznańskim.

„Wesele” w dniu 3 grudnia, w dniu otwarcia Sejmu Dzielnicowego. Przyszliśmy do teatru z oczyma pełnemi czerwono-białych barw, z uszami pełnemi okrzyków radosnych — i wzniósł się głos. Przyszliśmy głęboko wzruszeni — i — o dziwo! — wrażenia teatralne nie odebrały nam wzruszenia, nie wywołały oddźwięku między zamierzeniem a rzeczywistością. A jak łatwo było złem wystawieniem arcydzieła Wyspiańskiego, zamącić, bądź co bądź podniosłe wrażenia dnia! Jakby to, potrafili aktorzy warszawskiego Zrzeszenia Rozmaitości, którzy parodiowanie Wyspiańskiego umieli doprowadzić do szczytu!

Tu — stało się przeciwnie. Był w publiczności nastroj — publiczność przyszła „rozkochana w polskość” i aktorzy utrzymali „prawdziwą skalę” mieli „żar, co się duszom udziela”. Te słowa starczą jako charakterystyka przedstawienia. Był nastroj i w nim było wzruszenie — było głębokie poszanowanie poety i jego dzieła. Dobrze zrobił pan Szczurkiewicz, że nie poszedł za życziwą radą „Kur. Pozn.”, który przestrzegał przed odegraniem Wesele w uroczystym dniu Poznania, z obawy, że goście „nie zrozumieją”. Rudzono coś „przystępniejszego” np. „Obronę Częstochowy”. Publiczność sprawiła zawód troskliwym opiekunom. Słuchała w skupieniu, rozumiała, przejmowała się głęboko.

Rozumiała tem lepiej, że dr. Gantkowski w dobrze ujętej i dobrze wypowiedzianej pogadance streścił przed rozpoczęciem przedstawienia akcję dramatu i przygotował niejako tych widzów, którym orientowanie się mogło trudności sprawiać. Myślę tylko, czy koniecznem jest — w tych popularnych pogadankach, wskazywanie na genezę Wesele opowiadanie o małżeństwie Rydla, o Tetmajerze etc. Czy to dokładne zaznajamianie z anegdotyczną stroną poczęcia dzieła, nie utrudnia raczej zrozumienia, podsuwając żywe osoby, o znanych nazwiskach, na miejsce bezimiennych przedstawicieli Polaki. Zapomnijmy już, że Pan Młody — to Rydel — a Poeta — to Kazimierz Tetmajer i co za tem idzie, zapomnijmy całego szeregu innych nazwisk nie mających z utworem nic a nic wspólnego! To rzecz badacza, historyka literatury, lub Hoesicka! Człowiek prosty, któremu historia literatury ostatnich kilkunastu lat jest obca, który do teatru przychodzi po wrażenia jedynie duszy, niech wie tylko, że „był raz poeta na weselu, na którym żenił się pan z miastą z chłopką...” I tak dalej. Nieśluszne imi się też wydaje w pogadance pana Gantkowskiego interpretacja Chochola. Chochol — jako przedstawienie złego, które nas pęta? Chochol — ta „roza na ogrodzie”, która uwolniona z pęt „sama zakwitnie”? Chochol, który wyczarowywa to wszystko „co komu w duszy gra”. Nie chcę powtórzyć błędu pana Gantkowskiego i narzucać swego pojęcia o Chochole. Każdy z wielbicieli „Wesele” nosi w duszy swego „Chochola”. Dla mnie — Chochol — to te marzenia, te ukochania, te trwogi i bóle, które w rzadkich chwilach wyrwyją się z pęt codzienności i lenistwa, by ukazać się w mglistej, niepochwytnej postaci, by targnąć duszami, by zmusić do czynu. Ale, żeśmy leniwi i bezzilni, więc uchwycić ich nie umiemy, może nie chcemy — kręcąc się bezmyślnie w szarej powszedności dnia. Tym spotępnem „marzeniem — tą różą, grube owiniętą w chochol ze słomy — była przez lata cała dla tysięcy Polaków, myśl o czynie wyzwalającym. Na czyn zdobyć się nie umieli, wirując w takt muzycek narodowych, zadawalniając się frazesem i łatwym wzruszeniem. Ale to przeszłość daleka...

Przeszłość — a jaka żywa jeszcze i jak każde odczytanie „Wesele” i każde dobre jego przedstawienie znowu myślę zmusza.

Myśleć... może to najlepsza wskazówka dla aktora, grającego Wesele.

Aktorzy poznańscy niemal wszyscy myśleli. Najlepszą, najbardziej utrzymaną w tonie, w muzycznym tonie całej sceny z Widmem — była p. Biesiadecka w roli Marysi. Poezja i skupienie w odtworzeniu postaci pozwalały wybaczyc lekką wadę wymowy, z której młoda artystka koniecznie leczyć się powinna. Dużo miary i uczucia miał Poeta (p. Bracki). Możeby jednak dobrze uczynił, nie deklamując tak silnie początku sceny z gospodarzem w 1-y akcie, gdy po słowach: „taki mi się snuje dramat” rozwija w dalszym ciągu, sam dla siebie, wewnętrzne widzenie swego dramatu. Wybuch tu zupełnie nie na miejscu. Gospodarz, wcale niezły w zakończeniu II aktu — w trzecim zdobyć się nie umie na mękę przypominania — wszakże poeta powiada mu: „bracie, w tobie się szamocze ból”, a te słowa wydają się niczem niezasadnione. Rola Racheli wypadła błado. Pani Szczurkiewiczowa pojęła ją zbyt salonowo — a nie dość stylowo. Rachela — to trochę zmanierowana estetka — nie destygnowana, swobodna dama. Błado i bez nastroju wypadła scena „zmawiania chochoła”. Może tkwi tu i błąd reżysera. W tem miejscu zaczyna się Cz. 2. W tem miejscu mówi rozżalona żydówka, która „Przysła w dobrej wierze zakochana”, a którą „jęto kasać, gryść”. — Jest groza w tem: „zmówię chochol”. I niepokój, podniecenie chwytają poetę, jest pod urokiem pomyślał i pod wpływem czaru. Żydówka żegna go: „to jedyna chwila... pan teraz poeta”. Pan B. niczem tej wewnętrznej zmiany nie zaznaczył. Nic a nic nie dało wyczuć tego nastroju czaru w dialogu, który brzmiał jak dialog komedii salonowej.

Czepiec — miał wiele zamasztyści. Za wiele! Gdzieś „godność piastowska”, gdzieś „przejęcie!”, Krzyki, tupania i śmieśne jakieś ruchy głową nie charakteryzują chłopca. Uwaga ta stosuje się do wszystkich przedstawicieli ról chłopackich. Powinnyby też wszyscy porozumieć się, co do wymowy — należy się trzymać absolutnie wymowy podanej przez Wyspiańskiego — tymczasem każdy z chłopów i każda chłopka wydawali się — z innego miasta. I jeszcze jedno. Należy lepiej akcentować w wierszu interpunkcję, której Wyspiański nie zaznacza. Np. pan Młody — który, zresztą, grał dobrze — mówi: „Jak się ta muzyka miele!” Tu robi pauzę i ciągnie dalej: „Jak na żarach huczy etc.”. Haneczka zaś: „Ciotsienka zła okropnie, zła okrutnie!” I dalej: „A przelotnie zaraz buzię pocałuję.” Te błędy, koniecznie poprawić należy — roi się od nich. Postacie widmowe nie pały całosci. Wernyhora, Zawiasa, robili co mogli, choć mogli niewiele, uszanowali rolę. Zato Stańczyk był okropny! Miał to wrażenie, że nie rozumie zupełnie co mówi i kogo przedstawia, a raczej, że pojął to jedno, że przedstawia błazna. Był to jedyny moment, w którym rozległy się śmiechy na widowni! Pan Szczurkiewicz powinien corychlej powierzyć rolę Stańczyka komu innemu — a czemu sam jej nie zagrał? I Jasiek bardzo nieodpowiedni. Dla dobra całosci, Dziennikarz powinien albo rolę oddać, albo raz jeszcze ją przestudjować. Mam wrażenie, że wczławszy się głębiej, kierowałby się treścią, a nie rytmiką wiersza — którą akanduje, akcentując na rymach, przez co oczywiście daje wrażenie, że nie rozumie wypowiedzianych słów. Odczuwa się to szczególnie w scenie ze stańczykiem — rozpacziłwie nieopieglębionej czy tak źle wypowiedzianej. Może przy zmianie Stańczyka, scena ta wypadaby lepiej. Dziennikarz bowiem miał niechybnie kilka chwil szalonego

uczucia i łatotnego przejęcia. Niemożna jednak, grając Wyspiańskiego, iść tylko za własną uczuciową intuicją. Trzeba myśleć.

Nie jest zadaniem „Zdroju”, który nie posiada stałej rubryki teatralnej, tak szczegółowe omawianie gry poszczególnych aktorów. Dlatego nie wspominać o przedstawieniach innych ról. Na ogół grano dobrze. I nie idzie, nam też bynajmniej o pochwale, czy nagane. Idzie o czyn artystyczny, którym jest bezwarunkowo wystawienie „Wesela” na poznańskiej scenie — a który to czyn spotkać się musi z pełnym uznaniem. Ale czyn ten powinien w granicach, swoich, być zupełnym, dlatego błędy i usterki przedstawienia — zkądną powtarzamy, staranne i pełnego pietyzmu koniecznie poprawić należy. Pan Szczurkiewicz przyzwyczajając publiczność poznańską do słuchania wielkiego repertuaru. Miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości, rozporządzać będzie sceną na której sztuka polska swobodnie i szeroko rozwijać się będzie mogła. To, co uchodzi w szczerupłutkich ramach budynku, gdzie dziś rozbrzmiewa polskie słowo, to co się dziś przeoczy lub przebaczy — razić będzie niekończące, gdy teatr polski poznański właściwie otrzyma pomieszczenie. A że stać się to może niedługo, przeto dziś już całość teatralną do tych ram przygotować należy.

LEA.

Ś. P. TADEUSZ NALEPIŃSKI.

Wypadki dziejowe tak zagłuszają wszelkie inne głosy społecznego życia, że bez echa prawie przebrzmiała wiadomość o śmierci Tadeusza Nalepińskiego. Był to przecież jeden z najzdolniejszych młodych poetów naszych, najpiękniejsze rokujące nadzieje. Bujna, oryginalna natura, fantastyczność pomysłów, chaotycznych jeszcze nieco czasami, potrzebowały może ujęcia w karby, przotrawiania, wyrównania. Nadzwyczajna łatwość wierszowania utrudniała mu także miarę artystyczną. Rzeczy jego pisane wierszem „Gaśnienie” zbiór liryki, które wydał mając lat 18 — i „Chrzest” pisany niewiele później, noszą na sobie niewątpliwą cechę pierwszych prób. Ale czuć w nich już potężny talent. Pisał też szereg nowel, z których niektóre bardzo dobre, inne słabsze — bo pisać musiał często dla zarobku. Z rozpoczęciem wojny wstąpił do Legionów, został uwolniony dla słabego zdrowia, wyjechał do Włoch, a potem przez ostatnie lata pracował w Polskim Biurze Prasowym w Bernie Szwajcarskim. Tam umarł. Na co? Co mu się stało? Na te pytania życzliwi nie mają jeszcze odpowiedzi.

Dziwnie bolesnym był jego los. W początkach wojny ożenił się i po sześciu tygodniach rozstał się z żoną, jak mu się zdawało, na czas, krótki. Burza wojenna rozłączenie to przeciągała. Przez 1½ roku Nalepiński starał się próżno o powrót do kraju. Nie danem mu było... „Życie płynie mi tu, „jak na wojenne czasy, nawet po filistraku” pisał do znajomych 12. X. r. p., a więc krótko przed śmiercią. „Ciekaw jestem, a mało „powiedzieć — niespokojny, czy po wszystkim, co przeszedłem, „znajdzie się we mnie jeszcze — poeta. Dorobku literackiego — wielkiego nie posiadam, parę nowel, powieść, trochę krytyki — „duży, monumentalnie zakrojony epos, w pierwszych miesiącach „wojny pisany. Tu praca codzienna, młyn wielkich „dyplomacji” proszę mi do oczu, gniecie wyobraźnię, duszę zabija. Dla „tego powrót do kraju, gdzie wcale nie jest Muzom lepiej, „wiem to — ale jest inaczej, powrót ten powinien mnie wkręcać”.

Umarł na obczyźnie. Czy miłość jego i twórczość jego, których jednej i drugiej wypowiedzieć nie zdążył, znikły

z nim razem — czy też wróca do kraju, do którego ciałem rwał się bezskutecznie — odróda się i przemówi w innej formie?

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu L. Sz. w R. Przewidywaliśmy z góry coś najmniej zdziwienie u części czytelników „Zdroju” z powodu artykułu p. t. „Naczelnikowi hold” (zeszyt 5-6, tom V.). Spokojni jednak jesteśmy, gdyż wiemy dobrze, że tak, jak czytelnicy oswoili się z wielu daleko niebezpieczniejszymi zemi postulatami „Zdroju”, tem łatwiej oswoją się z myślą, że pismo nasze, nie uznające muzeów i galerii zamkniętych w sobie, sztukę i kulturę umysłową z życiem kojarzy i w pierwiastkach Sztuki pierwiastki Życia upatruje. Wszelako nie pospolitego życia codziennego przejawy tematem naszych rozważań być mogą, ale te, które o życiu wewnętrznym jednostki i społeczności decydują.

Dziwno Panu, że — jak niemal w wszystkich zagadnieniach, które dotąd poruszaliśmy — tak i na temat psychosocjalnej, ujawnionej w wielkich odruchach narodu i figlach politycznych, „Zdrój” jakoś z panującą „opinją” zgodzić się nie może?

Wiadomo, że pismo nasze nigdy nie szukało poklasku i przemawiało przede wszystkim wtedy, gdy miało coś innego do powiedzenia, niż mówili wszyscy. Łatwy to i tani poklask, gdy wywołany powtarzaniem ogólnej opinii. Łatwy i tani poklask nie wywalczony.

Dlatego frenetyczne brawo z satysfakcją pozostawiając bohaterom wiecowym i ulicznym politykom.

Bądź Pan pewien, że niejedyn głos nasz byłby zbyt cichy na terenie innym, a do nich należy hold złożony Naczelnikowi, który byłby zbyt cichy tam, gdzie hold jest ogólny sam przez się rozumiejący się. U nas wszelako — inaczej.

Nie możemy na tem miejscu polemizować z wszystkimi myślami pańkami, wyrażonemi w liście; ale nie chcemy odmówić sobie przyjemności zachwiania pańskiej wiary w nieomylność „opinii publicznej”. Wydarzenia ostatnich tygodni uświadoczyły nam dowodnie, czem jest ta „opinja i jak ona powstaje”. Kropla jadu za kroplą padała w szeroką masę nieświadomego społeczeństwa. Mało kto wiedział, o co właściwie chodzi, „Znachorzy” wiedzieli, którzy najlepiej trucizna dotrze do serca, znali ulubione a utarte hasła i formuły społeczeństwa; to też odpowiednie tworzyli frazesy, odpowiednie malowali straszał i osiągnęli ów tani aplauz, który równocześnie świadectwem był nienawidni obalamunecznego tłumu do Głowy Państwa. Jednakże zapewne nie obce są Panu odruchy ludzi, jadem demagogii politycznej nie zarażonych? Znasz Pan zapewne energiczną akcję przeciw onym „znachorom” zwróconą? Wiesz Pan też zapewne, że akcja ta uczyniła już poważny wyłom w sztucznie wytworzonym sentymencie dzielnicowym. I cóż Pan poczniesz, gdy opinja wywalczona obali opinję dzisiejszą? — Pójdzie Pan za nią, jako dziś idzie za opinję dzisiejszą? Zwiąże się to wzorem obywatelskości, czyli — owczym pędem.

Pani Fr. M. w K. Do jakiej szkoły radzimy Pani posłać synka? Czy nadesłane rysunki świadczą o talencie? — W talent wierzymy dzisiaj, jak wierzymy w zabicie talentu przez szkołę.

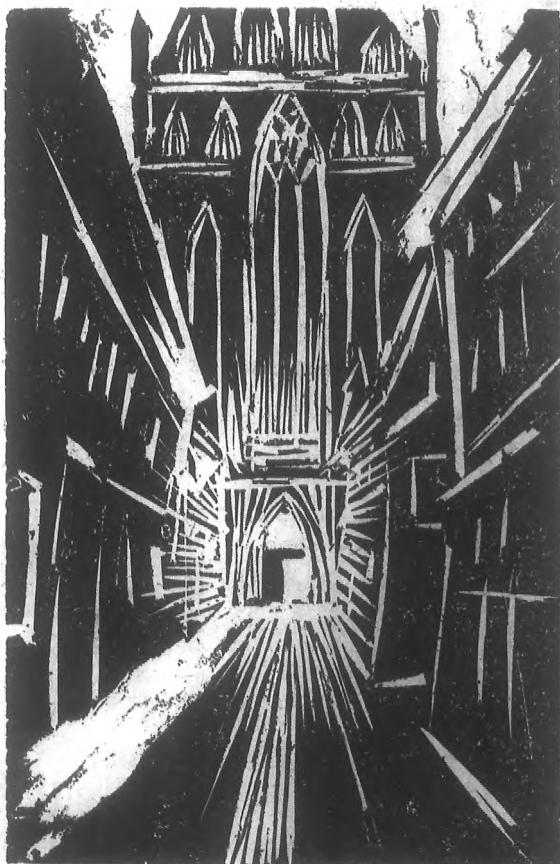
Jeżeli Pani chceś stłumić w dziecku zarodek twórczego odruchu, posłaj je Pani do szkoły rysunków albo zgłoś do akademii. Do tematu tego powrócimy jeszcze niejednokrotnie. Nosimy się też z zamiarem zorganizowania wystawy twórczych

prac dalszych, prac nieokaleczonych szkołą i nauką rysunku. Dziecko lepiej rysuje, niż dorosły, wyuczony dyletant, ba! lepiej rysuje, niż przeciętny ulubieniec naszej publiczności, których malowanki zaśmiecają nasze wystawy.

Tylko talent wybitny i bardzo odporny zdoła ostać się mimo szkoły; talent zaś średni musi ugiąć się przed wymogami szkolnymi i — zmarnieć. Do którego zaś typu należy dziecko

Pani — trudno odgadnąć; do szkoły radzimy tylko w takim razie postać, jeżeli dziecko talentu napewno nie posiada, albo jeżeli chce je Pani uchronić przed śmiercią w bezpłatnej lecznicy dla suchotników.

Cenne uwagi na temat dziecka i szkoły rysunków znajdzie Pani w „Zdroju”, w zeszytach 5-6 na str. 138, w rozprawie Kandinsky'ego p. t. „Zagadnienia formy”.



Drzeworyt oryg. — St. Samaj.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: Jerzego Hulewicz, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego



nabyć można za pośrednictwem naszem



REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

Pedagogjum Poznań

Sekretariat:

ulica Wilhelmowska nr. 25

od 9—1 i 3—6,
dyrektorjat od 5 6.

Przygotowuje od seksty do prymy (promocja co pół roku), tudzież do egzaminów jednorocznych, prymańskich i abiturjencckich. Egzaminy dla wojaków i uczniów szkół ludowych. . . .

Pensjonat dla uczniów

we własnym domu (centralne ogrzewanie, światło elektryczne itd.). Znowu osiągnięto znakomite rezultaty. Specjalne kursy dla pań.

Ilustrowany prospekt bez łątni .

Lekcje rozpoczynają się w początkach listopada. ::

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:
Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.
(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor kwartalnie i kor. 50 hal w okupacji austriackiej.

OSTOJA

Spółka Wydawnicza
w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice

literackie

Cena mk 9.—

Nabyć można
w wszystkich księ-
garniach.

MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze :: :: ::

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: KRAKÓW, Wolska 1 19
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 38 kor. — rocznie 75kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek”
objęła Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pan		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Kołnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Kołnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

Wielkie Sale Wystawowe

znajdują się teraz

przy ul. Berlińskiej 10 wysoki parter

Antykwarjat - Stała wystawa obrazów.

K. ANDRZEJEWSKI, Poznań, ul. Berlińska 10 w. p.

ZAKŁAD OŚWIETLANIA

LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. Berlińska 18 (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 3133.

**Nadzwyczajny wybór
wykwintnych przedmiotów do oświetlania
elektrycznego, gazowego i okowicianego
w wytwornem i skromnem wykonaniu.**

Aparaty do gotowania i ogrzewania

Bracia Kiwi

Tel. 2947 Poznań, ul. Wiktorji 9 Tel. 2947

**Cieszący się najlepszą renomą
magazyn stylowych wielkopańskich
urządzeń mieszkalnych.**

∴ ∴ Najwyższa sprawność. ∴ ∴

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwega, Schiedmayera, Hinkla, Nordgla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktorji 19

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

